



49 (785) Rok XV

3. 12. 72



126p POLSKI FIAT

O PROBLEMACH MOTORYZACJI
W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH
„ODGŁOSÓW”

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

RYSZARD BINKOWSKI

Zapisał nastrój, barwę ziemi, na której przyszło mu pracować:

Ta ziemia — siwy wrzos,
czupryny sosen karłowatych,
okopy piaskiem rozdmuchane
i tylko cisza —
przerwana strachem zająca.

To wierny zapis, bo tu, na południowy wschód od Belchatowa — ziemia w wydmach piaszczystych, bory sosnowe, białopienne zagaże. Wśród nich kręte, ciężkie drogi. I cisza. Czasem furkot skrzydeł dzikich kaczek, kołujących nad bagnami i porośniętymi trzciną stawami.

I ślady historii. Omszały, „cygański” dąb, liczący 900 lat, w uroczyskach śródleśnych stare młyny. Dalej kaplica o smukłej wieży, niebieskich witrażach, gdzie spoczywa dziedziczka Kluk, pani Święcicka. Dziedzic można — wspominają starzy — a sknera: buty szewcom nosił do reperacji. W niedzielę do kaplicy da-

kie bory jodłowe, to i smolarnia, dająca wysoki dochód, przeto dziedzicowi synowie ostro pogrywali na rulecie we Włoszech. Do Kluk nowych, murywanych, przyszedł przed sześciu laty świeżo upieczony lekarz weterynarii — EUGENIUSZ FOERSTER, który, nim jął prawie na czworakach wciskać się do

ZAWRACANIE RZEKI

żą chłopci na nabożeństwo. W laktierkach. A na dziedzińcowych wiościach nieźle prosperuje Państwowe Gospodarstwo Rybackie, tucząc tłuste kaczki i karpie.

Ślady historii... Żołnierski cmentarz z czasów II wojny. Surowy, pozbawiony zieleni. Tylko rzędy cementowych krzyży w porzecznych helmach.

Niżej przycupnęły Kluki. Murywane, rozrzucone wśród kilku uliczek przy asfaltowej drodze. Stare Kluki, drewniane, trzymające się obu stron piaszczystego gościńca, sfajczyły się do imentu.

Stara wieś, już w 1136 roku wspomniana w bulli gnieźnieńskiej, w XIX wieku stała się ośrodkiem przemysłowym. Był tu folusz (zakład piśniarski), młyn, wiatrak, huta na osiedlu Teofilów. A że wokół wiel-

ciemnych, lichy skleconych chlewków po okolicznych wsiach, zdążył wydać tomik wierszy, wykonać wiele pięknych rzeźb w drewnie, otrzeć się o wydział operatorski Szkoły Filmowej oraz robić scenografię w amatorskim teatrze poezji...

Pośrodku wsi pętrowy, zbudowany z białej cegły dom agronomów. Mieszka tutaj zootechnik, agronom i lekarz weterynarii. Dość znośnie U Foerstera dwa pokoje z kuchnią, łazienka, nowe meble, telewizor, okazy rzeźbionych przez naturę korzeni na ścianach. Gdyby nie te szpary w podłogach i zamarzająca zimą woda, można by rzec — miasto. A tak, młody lekarz drwa rąbie, węgiel nosi, pali w

Dalszy ciąg na str. 6

Szansa młodych

W mieście są trzy duże fabryki. Trzy przedsiębiorstwa, które liczą się na gospodarczej mapie kraju. Ale tak naprawdę, to w mieście są tylko dwie fabryki. Przekonałem się o tym już w chwilę po tym, kiedy stanąłem na placu przed dworcem. Taksówki nie było. Poszedłem więc wolno w stronę śródmieścia z cichą nadzieją w sercu, że zatrzymam wolną taksówkę, zdążającą na przydworcowy postój. Moja nadzieja była płonna.

Fabryka w polu

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Spotkałem za to autobus. Stał przed bankiem. Na drzwiach widniał napis: „RAWENT — Skierniewice”.
— Pan może jechać do fabryki? — spytałem kierowcę.
— Do fabryki.
— Można będzie się zabrać?
— Proszę bardzo.

Postaliśmy jeszcze trochę i ruszyliśmy. Ale właśnie wtedy, naszymi wątpliwościami. Skierniewickie fabryki — w myśl krajowej tendencji — zmieniły swoje nazwy. Czy aby dobrze jedziemy i czy czegoś w pośpiechu nie pomyliłem? Do niedawna bowiem fabryka, wybudowana w lasach koło Białej Rawki, nosiła nazwę „Chemostal”. Jechało się tam przez przejazd koło dworca. Teraz samochód kluczył ulicami i zbacał w zupełnie innym kierunku. Okazało się jednak, że jedziemy dobrze, a owo błądzenie po ulicach było tylko dojeżdżaniem do wiaduktu.

Przejeżdżamy wiaduktem, nie sobie nie robiąc z pociągów, na przejazd których trzeba było dawniej godzinami wystawać przed szlabanem. Jeszcze tylko krótki postój pod kioskiem spożywczym, gdzie kierowca załatwia zlecenia kolegów, którzy nie mieli okazji skoczyć do miasta — i już wjeżdżamy do lasu, przez który droga prowadzi do „RAWENTU”.

— Ale do was fatalnie się jedzie — mówię później dyrektorowi fabryki.

— A przy okazji miał pan sposobność bliżej zapoznać się z jednym z naszych kłopotów: dojazdami.

Ba! Właśnie po to przyjechałem do „RAWENTU”. O kłopotach fabryki głośno przecież nie tylko w województwie „Chemostal”, a obecnie „RAWENT” nie cieszą się dobrą opinią, bo nie zawsze dają produkcję wysokiej jakości, bo nie zawsze wykonują plany produkcyjne. Obecnie jest już znacznie lepiej niż bywało, ale kilkanaście lat złej sławy nie mija bez echa, nie można jej szybko wyeliminować nawet najlepszymi wynikami pracy. A do tych „RAWENTOWI” jeszcze daleko.

OD „MOSTOSTALU” DO „RAWENTU”

„SKIERNIEWICKIE ZAKŁADY URZĄDZEŃ ODPYLAJĄCYCH I WENTYLACYJNYCH „RAWENT” naprawdę znajdują się we wsi MIEDNIEWICE, w prostej linii 4 km od centrum Skierniewic, ale koleją jechać się i jechać (półtora km od

Dalszy ciąg na str. 7

Publikujemy następny odcinek wspomnień A. Mikojana z tomu „Szlakiem walki”.

...
Dziś — już powszechnie wiadomo, że przed X Ogólnorosyjskim Zjazdem RKP Lew Trocki w uporczywym dążeniu do objęcia władzy, narzucił partii dyskusję o związkach zawodowych. Przemawiając na posiedzeniu komunistycznej frakcji V Ogólnorosyjskiej Konfe-

każo się, że polityczne intencje wystąpienia trockistów były następujące: wykorzystać trudności, w jakich znalazł się kraj i doprowadzić do rozłamu w partii, by następnie przeformować swoją platformę, odzyskując tym samym leninowską linię rozwoju.

Walka o władzę rozpoczęła przez Trockiego do takie-

WALKA Z OPOZYCJĄ

ANASTAS MIKOJAN

rencji Związków Zawodowych (listopad 1920 roku), Trocki wypowiedział się za koniecznością „przetrażnięcia związków”, żądał „upaństwowienia” ich i militarystacji, odwoływał się przy tym do doświadczeń kierownictwa Związku Transportowców, na który wywierał niemały wpływ jako Ludowy Komisarz d/s Komunikacji.

Później, podczas zastrzeżonej walki w łonie partii, o-

go stopnia zaktywizowała wszelkiej maści oportunistów, że wkrótce w opozycji do leninowskiej linii w ruchu zawodowym znalazło się kilka grup politycznych: Trockiego i Bucharina (z początku występowały osobno, później razem), „opozycji robotniczej”, grupy „centralizmu demokratycznego” i kilka innych.

Dalszy ciąg na str. 4

FRYZURY

ANDRZEJ GRUN





W Helsinkach toczą się wielostronne rozmowy przygotowawcze z udziałem przedstawicieli 34 krajów, których celem jest utworzenie drogi europejskiej konferencji bezpieczeństwa i współpracy. W pierwszych dniach rozmów przedmiotem zainteresowania były sprawy proceduralne, a przede wszystkim tryb podejmowania decyzji. Kraje socjalistyczne i inne — np. Francja — zaprezentowały poglądy, że wszystkie decyzje powinny być podejmowane jednomyślnie. Przeciwnie się dyskusji nad sprawami proceduralnymi nie jest, zdaniem obserwatorów w stolicy Finlandii, zapowiedzią trudności, jakie napotykać będzie to szerokie grono. W komentarzach podkreśla się, że spowodowane to jest brakiem doświadczenia, gdyż nigdy dotąd nie prowadzono konsultacji w tak szerokim i różnicowanym gremium.

Po wstępnych uzgodnieniach rozpoczęła się debata generalna. Ma ona ustalić kształt konferencji ministerialnej, w czasie której dyskutować się będzie o merytorycznych problemach Europy. Już dziś nikt nie wątpi, że taka konferencja dojdzie do skutku. Trwająca konsultacja służy określeniu jej terminu i porządku dziennego.

Prasa światowa, a zwłaszcza europejska, poświęca wstępnemu dialogowi w Helsinkach wiele uwagi. Fakt, że po raz pierwszy spotkali się przy stole obrad przedstawiciele krajów całej Europy (o nieuczestniczącej w konsultacji Albanii pisze się, że tylko terytorialnie związana jest z naszym kontynentem, politycznie zaś z Azją) wyraża nie tylko wspólne zainteresowanie tych krajów zapewnieniem trwałego pokoju, lecz również ich gotowość aktywnego przyczynienia się do tego. Jest to dobra zapowiedź, dająca podstawę do optymizmu co do losów Europy.

Elementem tego optymizmu jest również wynik wyborów parlamentarnych w NRF. Wysokie zwycięstwo partii dotychczasowej koalicji rządowej, dające im w Bundestagu 48 głosów przewagi, przyjęte zostało z zadowoleniem w całej Europie. Umożliwia bowiem realizację, zapoczątkowanego przez Brandta kursu polityki zagranicznej Bonn. Zawarte w bieżącym roku układy i porozumienia będą w tym czasie wprowadzane w życie. Oczywiście i inna ekipa rządowa musiałaby respektować zobowiązania NRF, jednak ich realizacja mogłaby przebiegać opornie.

W zwycięstwie partii Brandta i Scheela wyraziło się poparcie społeczeństwa zachodniemieckiego dla takiej polityki zagranicznej, która zasadza się na realnych europejskich i wspiera międzynarodowe odprężenie. Sam fakt, że wyborcy w NRF uznali to za istotniejsze niż ocenę sytuacji wewnętrznej — na jej krytyce budowała głównie swe nadzieje chadecka opozycja — zasługuje na uwagę. Optymistyczne jest i to, że, jak wykazuje analiza wyborów, SPD i FDP otrzymały większość głosów młodych wyborców. Największy ich przyrost zanotowano w środowiskach robotniczych w dużych ośrodkach przemysłowych. Z rejonów wysokiego uprzedmiotowienia wywodzi się zresztą główna klientela wyborcza Brandta.

Ocenę wyborów w NRF warto przeprowadzić w jeszcze jednej płaszczyźnie — konsekwencji porażki CDU/CSU. Jej rozmiary zaskoczyły chadeckich przywódców, dlatego też nie zdobyli się jeszcze na analizę przyczyn przegranej. Kiedy to jednak nastąpi — z pewnością osłabnie pozycja Barzela. Chociaż nadal ma on pozostać przywódcą opozycji — jest niemal pewne, że w przyszłych wyborach — w 1976 roku nie będzie już pretendował do kanclerskiego fotela. Być może w partii tej dojdą do głosu młodzi, bardziej realnie patrzący na życie niż ich obecny przywódca.

Następstwa głosowania w dniu 19 listopada są więc wielopłaszczyznowe i mogą rzutować nie tylko na najbliższe cztery lata.

Optymizm, pod którego znakiem przebiega dzisiejszy komentarz, chcemy też związać z poufnym dialogiem, jaki toczy się w Paryżu między wysokimi przedstawicielami DRW i USA. Wprawdzie wojna wietnamska trwa nadal i Stany Zjednoczone nie zaprzestają bombardowań — jednak nadzieje na pokojowe uregulowanie konfliktu rosną. Rozmowy Le Duc Tho i Kissingera otoczone są ścisłą tajemnicą, nie wiemy przeto nic o ich przebiegu. Z przerwy, jaka została w nich ustalona (do 4 grudnia), można wyprowadzić dwa wnioski: pierwszy, że nie przebiegają one łatwo i konieczne jest jeszcze nieco czasu, drugi, że możliwości uzupełniających porozumień istnieją i dlatego celowe jest kolejne spotkanie.

Tymczasem w Sajgonie, który ostatecznie pogodził się z myślą o przerwaniu walk, czyni się swoiste przygotowania do pokoju. Jak donoszą agencje zachodnie — we wszystkich dzielnicach tego miasta powołuje się „ludowe komitety zwalczania komunizmu”, które mają udaremnić próby „wykorzystania przez komunistów zawieszenia broni”. Na domach wypisuje się różnorodne hasła, nawołujące do „stawienia czoła nieprzyjacielowi w innej wojnie, która się rozpocznie, a która będzie równie okrutna, jak obecna”.

Odnawiamy te fakty jako zapowiedź długiej drogi, jaką przebyć będzie musiał Wietnam Południowy do pokoju, rozumianego w najpełniejszym tego słowa znaczeniu.

W. SŁAWSKI

Tradycyjnie, po raz szósty, w dniach od 20 do 30 listopada, zorganizowane zostały Dni Książki „Człowiek—Świat—Polityka”. Centralną imprezą inauguracyjną była wystawa książki społeczno-politycznej we Wrocławiu, która zilustrowała dorobek książek w zakresie tej ważnej tematyki. Głównym akcentem programowym obchodów Dni jest również doniosły jubileusz 50-lecia Kraju Rad.

W czasie trwania dekady nastąpiło ożywienie kontaktów czytelników z autorami i wydawcami poprzez spotkania połączone z dyskusją w bibliotekach, klubach, domach kultury, zakładach pracy, szkołach i uczelniach. W tych samych środowiskach zorganizowane zostały wystawy, kiermasze i stoiska z książką społeczno-polityczną przy pomocy zainteresowanych wydawnictw i miejscowych kolporterów i działaczy.

Biuro Polityczne KC PZPR na posiedzeniu w dniu 21 bm. rozpatrzyło kompleks problemów dotyczących rozwoju rolnictwa i przemysłu spożywczego. Dokonała oceny kampanii zbiorów zbóż, okopowych i pasz, oraz wyników produkcji roślinnej w 1972 r. i jej wpływu na dalszy rozwój hodowli. Stwierdzono, że wzrost plonów stwarza korzystne warunki dla dalszego rozwoju produkcji zwierzęcej, zwracając jednocześnie uwagę na potrzebę bardziej racjonalnej gospodarki paszami.

W dalszym ciągu obrad BP oceniono realizację zadań społeczno-gospodarczych w PGR i wytyczyło kierunki dalszego ich rozwoju.

Oceniono również realizację programu rozwoju przemysłu spożywczego, podejmując wnioski zmierzające do szybszego uruchomienia produkcji nowych wyrobów, m. in. poprzez lepsze wykorzystanie istniejących zdolności produkcyjnych i przyspieszenie budowy i modernizację przedsiębiorstw przemysłu spożywczego.

23 bm. z udziałem członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR Jana Szydłaka, odbyła się w KC PZPR narada sekretarzy propagandy KW partii, poświęcona omówieniu zadań pracy polity-

czno-propagandowej, związanej z zakończeniem roku 1972 i realizacją społeczno-gospodarczych zadań na rok przyszły. W toku narady omówiono także zadania instancji i organizacji partyjnych wobec zbliżającego się Roku Nauki Polskiej. Dyskutowano również nad zadaniami w pracy polityczno-propagandowej w związku z reorganizacją władz terenowych na wsi.



Wiele uwagi poświęcono podczas dyskusji rozwojowi nauk społecznych, które stanowią ważny instrument w nieustannym procesie podnoszenia poziomu świadomości społeczeństwa.

24 listopada odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym oceniono przebieg realizacji najważniejszych zadań NPG w październiku i za okres 10 miesięcy br. Stwierdzono, że nadal utrzymuje się wysokie tempo rozwoju gospodarczego. Uznano za konieczne, by ostatnie tygodnie roku wykorzystał do maksimum dla pełnego wykonania całorocznych zadań, a nawet ich przekroczenia, mając na uwadze dobry start w nowym roku. Przy czym uznano za sprawę pierwszorzędnej wagi zapewnienie rytmiczności pracy na przełomie roku.

Dużo uwagi poświęcono dostawom artykułów rynkowych, przyjmując zasadę, że do 15 grudnia br. producenci muszą odrobić wszystkie zaległości w tej dziedzinie.

Następnie Rada Ministrów dokonała wnikliwej oceny realizacji

uj uchwały BP KC PZPR w sprawie zabezpieczenia dyscypliny, ładu i porządku w kraju.

Dodatkowe ilości poszukiwanych wyrobów chemicznych: laków i kosmetyków, farb i lakierów, wyrobów gumowych, benzyn i olejów — to wkład załóg przemysłu chemicznego do ogólnokrajowej akcji „20 miliardów”. Ta dodatkowa produkcja uzyskana w okresie 10 miesięcy br. osiągnęła wartość prawie 3 mld zł. Ten znaczny sukces był możliwy dzięki temu, że wiele zakładów i zjednoczeń wykonało swe zobowiązania o dodatkowej produkcji z dużą nadwyżką.

Zakończony został piąty już z kolei Turniej Młodych Mistrzów Techniki — konkurs dla najmłodszych wynalazców, racjonalizatorów i konstruktorów, zorganizowany przez ZMS, NOT i CRZZ. Autorzy najlepszych projektów z całego kraju spotkali się z premierem P. Jaroszewiczem. Zwycięzcy turnieju otrzymali dyplomy, nagrody i specjalne medale.

W ciągu pięciu lat istnienia Turnieju Młodych Mistrzów młodzież zgłosiła blisko 100 tys. projektów, które wprowadzone do produkcji dały ponad 2,5 mld zł oszczędności w skali rocznej. Efekty ekonomiczne i zainteresowanie nowoczesną myślą techniczną młodzieży, świadczy o ogromnej roli, jaką może spełnić m. in. taka forma aktywizacji młodego pokolenia w dobie rewolucji naukowo-technicznej.

W chwili składania numeru do druku rozpoczęło się w Warszawie VII plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR. Dwudniowe obrady Plenum poświęcone są sprawom młodzieży. Kierunkowe założenia tematyki omawiane były kilkakrotnie na posiedzeniach Biura Politycznego oraz szeroko konsultowane. W przygotowaniu materiałów na VII Plenum uczestniczyło blisko 20 tys. osób. W następnym numerze omówimy obszernie problemy młodzieży.

J. ŻAK

NAUKA I KULTURA. Sprawy rozwoju nauki były ostatnio przedmiotem rozważań na spotkaniu łódzkiego środowiska naukowego z ministrem nauki, szkolnictwa wyższego i techniki — prof. dr. JANEM KACZMAREKIEM. W spotkaniu obok wybitnych naukowców uczestniczyli również sekretarze łódzkiej i wojewódzkiej instancji partyjnej: B. Kapitani, K. Łukaszewski i J. Dębowski.

Prof. dr. Jan Kaczmarek udzielił wypowiedzi przedstawicielowi „Głosu Robotniczego”. „...niezmiernie ważne jest — powiedział min. J. Kaczmarek — zwiększenie tempa pracy w placówkach naukowo-badawczych i wygranie walki z czasem. Trzeba to robić umiejętnie, mając przez cały czas na uwadze ciągłość działania. Jeżeli np. jeden zespół konstruktorów opracowuje projekt urządzenia, to następny zespół powinien już pracować nad ulepszeniem tego urządzenia lub nawet nowym projektem”.

Min. J. Kaczmarek przypomniał też, że niezwykle ważne jest umiejętne rozbudzanie ambicji poszczególnych zespołów naukowych, stwarzanie warunków do rywalizacji w pracy naukowej, a także właściwe kierowanie badaniami naukowymi.

Mysle, że słowa min. J. Kaczmareka pozostaną w pamięci łódzkiej naukowców, którzy coraz więcej powinni mieć do powiedzenia w sprawach krajowej nauki.

Z udziałem ministra kultury i sztuki — S. WRÓŃSKIEGO odbyła się narada pracowników łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. W dyskusji padło wiele cennych uwag na temat przyszłości filmu oświatowego. Pozwala one sprzeczyć program pracy tej wytwórni. Ma ona bowiem do spełnienia poważne zadanie: popularyzować problemy rewolucji techniczno-naukowej, rozbudzać zainteresowanie społeczeństwa sprawami nowoczesności w technice, gospodarce i życiu społecznym. W WFO powinny powstawać filmy odpowiadające podstawowemu kryterium — społecznej użyteczności.

75 LAT HUTY SZKŁA OKIENNEGO „KARA”. Z okazji jubileuszu „Kara” zwrócił minister budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych — A. KARKOSZKA w towarzystwie sekretarza KW PZPR w Łodzi — W. Mielczarka. Goście spotkali się z załogą Huty „Kara”.

Wychodząca w Piotrkowie Trybunalskim „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” wydała specjalny numer w całości poświęcony ludziom i sprawom huty.

Przy okazji jubileuszu dowiedzieć się można, dlaczego huta otrzymała nazwę „Kara”. Według najbardziej prawdopodobnej hipotezy od imienia córki pierwszego jej właściciela — Kary.

DOSWIADCZENIA PIOTRKOWA TRYBU. ZGIERZA I WIERUSZÓWA w rozwijaniu działalności kulturalno-o-

światowej były przedmiotem rozważań Egzekutywy KW PZPR w Łodzi. Z przedstawionych materiałów i wypowiedzi dyskusantów okazało się, że obok wielu cennych osiągnięć występują też w tej dziedzinie zahamowania. W województwie łódzkim nie wszystkie rejonu posiadają dostateczną bazę dla rozwijania działalności kulturalnej i oświatowej, ale też nie wszystkie kluby, świetlice i domy kultury wykorzystują się w należytym stopniu. Wysunięto postulat integracji kulturalnych poczynań Łodzi i poszczególnych ośrodków województwa łódzkiego. Stwierdzono, że wszystkie społeczne inicjatywy rozbudowy urządzeń kulturalnych i oświatowych, jeżeli będą wynikały z istotnych potrzeb, znajdują należyte uznanie i poparcie.



ŁÓDZCY DZIENNIKARZE gościli przedstawicieli Ambasady Radzieckiej w Warszawie z attache prasowym — Arturem Budakowem.

ZMS O KULTURZE. Sprawom popularyzacji kultury wśród młodzieży poświęcił swoje najbliższe plenarne posiedzenie Zarząd Łódzki ZMS. Punktem wyjścia do takich rozważań będzie ocena tego, co już w tej dziedzinie zrobiono, a więc popularyzacja filmu, teatru, opieka nad ruchem amatorskim. W zamierzeniach jest doskonalenie istniejących form działalności, a obok tego dalsze rozwijanie czytelnictwa, popularyzacja muzyki światowej i nie tylko tej, która określa się mianem „młodzieżowej”, przygotowywanie ludzi, którzy potrafiliby pracować kierować, którzy potrafiliby dalej rozwijać amatorski ruch artystyczny.

MOŻNA KANDYDOWAĆ DO NAGRODY MIASTA ŁÓDZI. Prezydium RN m. Łodzi ogłosiło komunikat, z którego wynika, że do 15 grudnia 1972 roku można zgłaszać kandydatów do NAGRODY MIASTA ŁÓDZI. Nagrody te przyznawane są zawsze w kolejną rocznicę wyzwolenia Łodzi.

PRZYSZŁOŚĆ CENTRUM ZGIERZA wiąże się z doprowadzeniem do miasta gazu i ciepła. Te ostatnie ma dostarczać miastu „Boruta”. Plany przewidują zakończenie tych prac pod koniec bieżącej pięcioletki. Następnym etapem będzie zburzenie obecnego centrum miasta i wybudowanie na jego miejscu nowoczesnych domów mieszkalnych, magazynów handlowych, pawilonów usługowych i placówek kulturalnych.

FIAT 126p. Jak się dowiedzieliśmy poczyniono już starania, aby i łódzianie mogli obejrzeć nowe modele rewolucyjnego samochodu — Fiata 126p. W niedługim też czasie — po dokładnym opracowaniu wszystkich szczegółów — placówki PKO zaczęła przyjmować przedpłaty na ten samochód, który ma dokonać zasadniczych zmian w dotychczasowym procesie motoryzacji kraju.

POWODEM DO DUMY stała się wiadomość, że w Łodzi pod koniec bieżącej pięcioletki zacznie się budowa **PIERWSZEJ W POLSCE...** centralnej obieralni ziemniaków i warzyw. Złokalizuje się ją — jak informuje „Dziennik Łódzki” — w pobliżu Zakładu Tuczny Przemysłowego, aby móc w ten sposób należycie wykorzystywać odpady. Karmić się będzie nimi 2 tys. sztuk trzody chlewniej, czyli po prostu, świnek. Z tej centralnej obieralni ziemniaków i warzyw dostarczać się będzie do restauracji i barów „półprodukty” w followych workach. Dzięki temu łódzka gastronomia będzie mogła o 30 proc. zmniejszyć stan zatrudnienia i 10-krotnie mniej zużywać wody.

Mielimy nadzieję, że za te kilka lat — jak wszystko dobrze pójdzie — nie będziemy musieli czekać w restauracji na obiad, bo „ziemniaczki jeszcze się gotują”. Nie jestem jednak taki pewny, czy do tej pory nasz gastro-nomicy nie wymyślił innej przyskody, która usprawiedliwi długie czekania na posiłek.

DZENTELMENI za kierownictwa. Okazało się nim kilku taksówkarzy łódzkich. Milicja przeprowadziła ostatnio lotną kontrolę taksówek. Nie wszyscy kontrolowani zdali ten dodatkowy egzamin. Nie wszyscy byli grzeczni wobec pasażerów i mieli wozu technicznie sprawne, gwarantujące bezpieczeństwo pasażerom.

Okazało się też, że zakaz palenia w taksówkach dotyczy nie tyle pasażerów, co samych... kierowców. Również odmawianie kursu, który „nie leży” kierowcom taksówek nie jest w zgodzie z przepisami.

Byłoby dobrze, aby milicja częściej robiła takie kontrole. Być może byłoby więcej dzentelmenów za kierownicami łódzkich taksówek.

M. RODAK



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji)

JERZY WILMAŃSKI

MIASTO ŁÓDŹ. W SAMYM ŚRODKU POLSKI, A PRZECIEŻ WIELE W JEGO HISTORII ELEMENTÓW WŁASCIWYCH RACZEJ REGIONOM POGRANICZA, Z WARSTWAMI NAKLADAJĄCYCH SIĘ I PRZENIKAJĄCYCH WIELONARODOWOŚCIOWYCH KULTUR. TE ŚLADY TKWIĄCE W JĘZYKU, KIEDY SŁYSZY SIĘ GERMANIZMY — „TYTKA”, „FAJNIE” I RUSYCYZMY — „NA ILE TA KASZANKA?”... TE ŚLADY TKWIĄCE W OBYCZAJOWOŚCI WIEJSKIEJ PRZEMIESZANEJ Z WIELKOMIEJSKIM „SZNYTEM”.

Miasto Łódź anno 1972 z połową swoich aktualnych mieszkańców, którzy po roku 1945 stali się łodzianami z wyboru. Miasto z ogromną tradycją i bez tradycji równocześnie. Łódź, która do dziś jeszcze w świadomości ludzi nie funkcjonuje jako stolica regionu, bo nigdy tego znaczenia nie miała. Kiedyś należała do guberni Piotrkowskiej — dziś Ziemia Łódzka to, historycznie biorąc, zlepek paru regionów. Uznanie miasta jako centrum tego regionu trzeba dopiero kształtować, bo jest to proces na dzieśiątki lat i nie załatwia go decyzje administracyjne. I jeszcze na dodatek ów

nia, ale dla uświadomienia sobie i innym owego skoku i — mimo wszystko — dynamiki rozwoju.

Więc trzeba się odwoływać do tradycji — także do ponurych tradycji kunitzerowskich „famiłiaków” na Szlezynku. Więc trzeba się odwoływać do młodzieży (kół szkolnych ma TPL około 120), przypominając jej, że żyje w mieście z przeszłością, której wstydić się nie ma potrzeby.

Określone, historyczne warunki egzystencji miasta, rodziły niższe aspiracje kulturowe. Relikty tego zjawiska wloką się nadal. Więc trzeba się odwoływać — do młodzieży szczególnie —

Obchodził niedawno 85-lecie istnienia i jest to jubileusz piękny i pełen chwały. Bardzo wiele znaczyła przed prawie pół wiekiem polska pieśń w wielonarodowościowym mieście. I znowu problem. „Harmonia” ma sztandar z Matką Boską i orłem z koroną — jak go zmieścić w jubileuszu lat siedemdziesiątych? Normalnie — jako zabytek. Przechowany przez zabory i okupację zabytek z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. A przecież i ten drobiazg budzi przedziwne wątpliwości.

Przytoczyłem te dwa przykłady, by uświadomić jak delikatną sprawą są tradycje. Trzeba je odkurzać, zachowując właściwe proporcje i dialektyczne spojrzenie — nie popadać w przesadę i nie ciosać toporem. Nie wiem na przykład, dlaczego dotąd nie znalazł uznania słynny przedwojenny pomnik Robotnika z parku im. Matejki.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi nie ma dotacji, a zatem możliwości realizowania określonych przedsięwzięć. Ale ma inicjatywę i obowiązek wychodzenia z tą inicjatywą. Reprezentuje ponadto wiedzę o mieście i jego historii. Ta wiedza jest wystarczająco istotnym kapitałem.

Myszę, że koniecznie trzeba rozszerzyć inicjatywę tworzenia fabrycznych muzeów. W tym roku dzięki Wojewódzkiej Komisji



Fot. W. Pietrzyk

MIĘDZY TRADYCJĄ A PRZYSZŁOŚCIĄ

kompleks zapoznania. Od „zięgo miasta” Bartkiewicza, poprzez gorzką „Ziemie obić caną” Władysława Reymonta aż do lat ostatnich, kiedy Łódź łatwiej otrzymywała orderzy niż kanalizację. Dawniej zawsze ważniejsza była Gdynia i Centralny Okręg Przemysłowy ze Stalową Wolą — potem zawsze ważniejsza była odbudowa Warszawy i budowa Nowej Huty. Nie wymówka to — po prostu stwierdzenie faktów, które dla Łodzi często bywały niepomyślnie.

Oto skrótna i z konieczności uproszczona sytuacja miasta, w którym od kilkunastu już lat działa jedna z najprężniejszych organizacji regionalnych — **TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁÓDZI**. Takich organizacji są w kraju setki — widać istnieje społeczna potrzeba podtrzymywania sentymentów i budzenia resentymentów. Jest bowiem bardzo ważny ów czynnik przywiązania do „małej ojczyzny”, do miejsca urodzenia, czy miejsca, w które wrośli ludzie przybyli tu z poblizka i z daleka. I jest u starszych pragnienie przekazywania wiedzy o tym mieście, jest chęć aktywnej, gospodarskiej oceny dokonań. Nie dla taniego efektu i wypełnienia rubryki sprawozda-

tworząc określone nawyki kulturalne. Działalność TPL-owskich „Kół Miłośników Teatru” od lat owe nawyki tworzy i już tylko ten jeden aspekt działania Towarzystwa byłby wystarczającym argumentem sensu istnienia TPL.

Albo selekcja tradycji łódzkich. W pogmatwanej historii miasta sprawa to niełatwa, ileż wywołująca nieporozumień zabawnych i smutnych zarazem.

Oto była przed wojną na Banku Polskim tablica upamiętniająca śmierć gimnazjalisty, który zginął przy rozbrajaniu Niemców w roku 1918. W czasie ostatniej wojny hitlerowcy tablicę zniszczyli. Kiedy ją chciano przywrócić na powrót, padł przedziwny argument: „po co?, przecież to był „peowiak””. Oto, jak łatwo zapomniamy o marksistowskiej dialektyce. Dla przypomnienia tym, którzy mają ją w ustach, ale nie w głowie. „Dialektyka jest teorią rozwoju rzeczywistości, pojmowanej jako dynamiczna całość, w ruchu i przemianach”. Nie można więc patrzeć na śmierć łódzkiego chłopaka w roku 1918 stosując kryteria z roku 1972. Nie wolno rezygnować z pamięci żadnego polskiego zrywu narodowego.

Oto istnieje najstarszy łódzki chór „Harmonia”.

Związków Zawodowych powstało także muzeum w Przędzalni Czesankowej im. Gwardii Ludowej. Powinny być we wszystkich starych łódzkich fabrykach, szczególnie tych, które przynoszą się do nowych hal, nowych gmachów, gdzie zatraca się i gubi ciągłość tradycji robotniczego trudu.

Była — przepadła pierwsza łódzka szkoła Wocalewskiego. Powstały nowe gmachy, ze starych czynszówki wyprowadziła się dawno ta szkoła, kto wie, może już i tej kamienicy nie ma. I urywa się ślad. A przecież powinien przetrwać, właśnie w jakimś nowym, słonecznym gmachu, właśnie w postaci jednej izby, tablicy z nazwiskiem, portretu, fotografii...

Tak gina bezpowrotnie tradycje. W jednej z najstarszych łódzkich księgarni polskich jest dziś zakład fotograficzny — hasło „Czytaj” znają dziś tylko szperacze w historii kultury tego miasta. A przecież na piękna i trudną przeszłość Łodzi składają się różne elementy. Większe i mniejsze. Owa barykada z 1905 roku przy ul. Południowej i chór „Harmonia”, strajki burzycieli maszyn (ostatnie chyba w Europie) i polska księgarnia, ta przedziwna dwujęzyczna gazeta „Lodzer Anzeiger — Łódzkie Ogłosze-

nia” z lat osiemdziesiątych i książka Oskara Flatlę, pałace Poznańskiego i piśma Juliana Marchlewskiego...

Pokaźna ilość kół szkolnych TPL świadczy, że Towarzystwo właśnie wśród młodzieży upatruje ów najbardziej podatny grunt do krzewienia dobrych sentymentów w oparciu o tradycje.

Oczywiście, historia to tylko wycinek problemu. Na jego marginesie są owe sekcje muzyków, kultuwujących stosunkowo jeszcze autentyczny folklor miejski; energiczniejsza niż dotąd inżynieria w sprawy nazewnictwa ulic; inspirowanie przedsięwzięć wydawniczych wspólnie z Wydziałem Kultury RN m. Łodzi...

Albo przecież żyjemy w Łodzi lat siedemdziesiątych i to w przededniu wielkich zmian, jakich miasto dotąd nie doświadczyło. A więc współpraca z uczelniami (które zresztą na apel TPL odpowiedziały błyskawicznie, kierując prelegentów ze swego grona), spotkania z przedstawicielami władz — słowem prezentowanie mieszkańcom oblicza Łodzi przyszłości, objaśnianie dróg, jakimi dziś miasto podąża.

Harmonijne działanie na tych trzech płaszczyznach — Przeszłość, Teraźniejszość,

Przyszłość — dać dopiero może efekty na miarę potrzeb. Bowiem potrzeby takie, nie tylko w sferze emocjonalnej, istnieją.

Ale istnieją też istotne novum w działalności TPL. Uświadomiona potrzeba łączenia spraw Łodzi ze sprawami regionu. Kiedyś było z tym bardzo różnie, najczęściej niedobrze i to nie z winy TPL. Po prostu niektórzy ludzie nie chcieli, czy nie potrafili spojrzeć szerzej. Widzieli więc, jak ci straszni mieszczanie z wiersza Tuwima, — „wszystko oddzielnie”. Łódź osobno i województwo osobno. A przecież jest to jeden organizm. **Towarzystwo Przyjaciół**

Łodzi, jeśli ma spełniać swoje społeczne zadanie, nie może być tylko Towarzystwem od Widzewa do Balut i od Stoków do Retkini. Pojęcie Łodzi jako stolicy Ziemi Łódzkiej musi zacząć powoli funkcjonować w świadomości mieszkańców nie tylko jako podział administracyjny, Ziemia Łódzka, żeby się stała regionem łódzkim musi stać się ośrodkiem procesu integracyjnego właśnie w sferze emocjonalnej. A tego nie załatwia decyzje i podziały administracyjne, lecz działalność społeczno-propagandowa, kształtująca poczucie i pojęcie wspólnoty Łodzi i Ziemi Łódzkiej.

To istotne novum w działalności TPL wydaje się być niesłychanie ważne, ale i bardzo trudne. Statystyczny mieszkaniec Łodzi składa się z konglomeratu wielu obyczajowości, sentymentów i tradycji. Tak jak Ziemia Łódzka składa się z płaszczyzn łowickich, łęczyckich, kieleckich, wielkopolskich... Te różne i różnorodne wartości kiedyś zwiążą się w jeden wspólny krąg. Jest to oczywiście sprawa dziesiątków lat, ale ogromna rola TPL w tym, aby ową integrację przyspieszyć.

A JA LUBIĘ PIWO

Swego czasu prasa zapowiadała, że w Łodzi powstanie kilka nowych pijalni piwa. Jako amator tego — ponoć prasłowiańskiego — napoju bardzo cieszyłem się z takiej perspektywy. Niestety. Okazało się jeszcze raz, że piękne zapowiedzi nie zawsze sprawdzają się w praktyce. Nowych pijalni piwa, po likwidacji tej na Piotrkowskiej i otwarciu piwnicy „Pod kuflem”, nie przybyło. Nadal można na ul-

cach Łodzi spotkać mężczyzn pijących piwo w bramach domów. Nie jest to jednak sposób picia godny popularyzacji. Co ma jednak zrobić amator piwa?

Piwo można dostać w niektórych kawiarniach i czasem w restauracjach. Z kawiarniami jeszcze pół biedy. W niektórych porach można wejść i znaleźć wolny stolik, ale jaką ma się wiedzę gwarancję, że piwo „nie wyszło”? Z restauracjami jest znacznie gorzej. Tu piwo podają do zakąski. Dobrze, jeśli a-

kurat jest piwo, można wziąć dwa plasterki sera i posiedzieć nad szklanką „żywca”, pogadać z kumpiem, którego nie widział się ładny kawał czasu. A jak nie ma piwa? To można wziąć dwie setki „specjalnej”. Tylko, czy o to chodzi?

Zamiana wódki na piwo nie jest najlepszym wyjściem, a taką zrobiono w oddanej niedawno do użytku kawiarni przy ul. Armii Czerwonej na Widzewie. Upijać się więc piwem ci wszyscy, których nie stać na wódkę

czy lampkę wina. Czy w tym przypadku było to właściwe rozwiązanie?

Od dawna powtarza się u nas, że ludzi trzeba uczyć pić. Może więc mniej na ten temat mówić, a więcej uczyć, stwarzając warunki do kulturalnego wypicia kufia piwa, czy lampki wina.

KAZIMIERZ STOLARCZYK

„BYĆ WSPÓŁCZESNYM”

Bardzo proszę o sprostowanie błędów, który się zakradł do cy-

tatu z mojej publikacji w „Głosie Robotniczym”. W tekście wydrukowanym w „Głosie” nie było: „...gdyby recenzenci z gazet chcieli by swą działalność...”, było natomiast: „...gdyby... chcieli”. Poza tym sztuka cytowania — bezbłędna...

HENRYK PAWLAK

Błąd ów powstał w artykule K. Frejdliha „Być współczesnym”. Przepraszamy.



Dalszy ciąg ze str. 1

W styczniu 1921 roku Lenin wystąpił na łamach „Prawdy”. W artykule „Kryzys partii” określił sytuację w partii jako bardzo ciężką i napiętą do ostatecznych granic. „Trzeba mieć odwagę spojrzeć prosto w oczy gorzkiej prawdzie — pisał Lenin. — Partia jest chora. Partia gorączkuje...”

Już pod koniec listopada i w początkach grudnia 1920 roku trockiści i przedstawiciele „opozycji robotniczej” rozpoczęli gwałtowną agitację wśród komunistów Niżniego.

27 listopada na ogólnym zebraniu komunistów Gorodskiego rejonu omawiano problem: „Związki zawodowe i ich zadania”. Dość mętny referat, zawierający w zasadzie anarcho-syndykalistyczne poglądy „opozycji robotniczej”, wygłosił Iščenko. W dyskusji Szmonin bardzo trafnie określił

owego, o planie elektryfikacji Rosji. Wiele uwagi poświęciłom dyskusji o związkach zawodowych, która miała miejsce na zebraniu komunistycznej frakcji VIII zjazdu; opowiedziałem w szczególności o przemówieniu Lenina i jego stanowisku w tej sprawie. Byłem zdziwiony, że mówcy zabierający głos w dyskusji, między innymi przewodniczący Rady Zakładowej Sierow, wypowiadali się o roli związków zawodowych stojąc na stanowisku „opozycji robotniczej”, że pomniejszali znaczenie Rad i rolę partii.

W jednogłośnie przyjętej uchwale (przy trzech wstrzymujących się) podkreślono: „Po wysłuchaniu referatu o przebiegu VIII Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad zebranie plenarne Sormowskiego rejonu RKP postanawia ze wszech miar starać się o realizację wszystkich jego uchwał”. Następne jednak zdanie, mimo iż

całe kierownictwo partii wraz z Leninem znajdzie się w niezwykłej ciężkiej sytuacji. Pod szyldem „dyskusji o związkach zawodowych” toczyła się walka o władzę. Każdy więc robotnik-bolszewik winien omówić tę sprawę z bliskimi sobie towarzyszami z partii, tak by na zebraniu rejonowym głosowano za linią Lenina, odrzucając propozycje Szlapnikowa i jego anarcho-syndykalistycznej grupy.

Wkrótce Ikonnikow poinformował nas, że jego rozmowy z robotnikami dały zadowalające wyniki.

(...) Pod koniec stycznia odbyło się rozszerzone plenium Komitetu Gubernialnego z udziałem sekretarzy komitetów rejonowych i powiatowych. Wygłosiłem referat: „O aktualnej sytuacji i zadaniach X Zjazdu partii”. Szczegółowo omówiłem porządek obrad mającego się odbyć X zjazdu partii, zatrzymując uwagę

zostaną pustym dźwiękiem, a więc nie wolno umieszczać ich w tezach o związkach zawodowych. Jest to zabawa w najczystsza demagogię. Lenin twierdzi, że w takich sytuacjach nie wolno wierzyć na słowo. Kto wierzy na słowo jest bezadzielnym głupcem. Kto podpisał te tezy? — Szlapnikow, a u nas Czelyszew, Chanow i Kozin przyłączają się do niego”.

(...) Prawie wszyscy dyskutanci mówili o szkodzie, jaką wyrządzają partii kliki i partykularyzm w kierownictwie Komitetu. „Niektórzy członkowie Komitetu — mówił z oburzeniem przedstawiciel Gorodskiego rejonu Ginzberg — więcej troszczą się o władzę, niż o partyjną robotę...” Poparli go Gołowin, przedstawiciel jednego z oddalonych powiatów: „...wielomilionowa ludność powiatów pozbawiona jest kierownictwa, a go-

mowa Jegorow odczytał uchwale, w której zatarte zostały wszystkie ostre momenty. Jakże stanowisko zajmie Komitet na konferencji gubernialnej? 15 głosów oddano na uchwałę Siencowa, 8 — przeciwko, czterech członków wstrzymało się.

Uchwała zawierała stwierdzenia, że Komitet Gubernialny RKP nie sprostał swym kierowniczym zadaniom; organizację partyjną w terenie zostały pozostawione same sobie; kliki i partykularyzm w Komitecie wpływały demoralizująco na całą organizację partyjną. Uchwała podkreślała, że jedynym środkiem do uzdrowienia sytuacji w Niżnim są wybory nowego składu osobowego Komitetu Gubernialnego na konferencji partyjnej. Już po przyjęciu tej uchwały wstał przewodniczący Rady Gospodarki Narodowej Michaił Worobjow i oświadczył, że

nie zbywano w Komitecie milczeniem, by „góra” nie była zajęta tylko osobistymi interesami. Na posiedzeniach bez sprzeciwu przyjmowano wnioski takich członków Komitetu, którzy zajęci byli tylko osobistą karierą. Zawsze będą walczył przeciwko takim klikom”.

(...) O leninowską linię polityczną walczyć musieliśmy na zebraniach w terenie, w zakładach i halach produkcyjnych, podczas rozmów z robotnikami. Jeszcze pod koniec stycznia na plenarnym zebraniu komunistów Bieriegowego rejonu sekretarz komitetu rejonowego Jarkin agitował na rzecz Trockiego, a w imieniu „opozycji robotniczej” przemawiał Maksimow. Sali huczała, burzliwie reagując na każde wystąpienie. Podczas głosowania na leninowską platformę oddano 57 głosów, na „opozycję robotniczą” — 56, a trocki-

WALKA Z OPOZYCJĄ

wtedy: „Przemówienie Iščenki to w połowie idee mieńszewizmu, w połowie zaś — anarcho-syndykalizmu”. Drugi mówca (Zuchowicki) gorąco opowiadał się za wojskowymi metodami i kontrolą, przeciwko czemu zdecydowanie wraz z Choninem zaoponowaliśmy, wyjaśniając, że „...metody wojskowe nie nadają się do zastosowania w przemyśle”.

W grudniu miała miejsce poważna utarczka z trockiściami na zebraniu partyjnym Bieriegowego rejonu. Natomiast w organizacji Gorodskiego rejonu przedstawiciel „opozycji robotniczej”, członek egzekutywy Komitetu Gubernialnego Kozin zabierając głos po moim referacie dokonał wręcz dywersji politycznej swoim żądaniem, by wszystkie stanowiska kierownicze w organach zarządzających przemysłem i transportem obsadzone zostały przez przedstawicieli związków zawodowych, gdyż to związki powinny rządzić i dawać wytyczne, a Rady Gospodarki Narodowej (Sownarchozy) muszą stać się ich wykonawcami... Komuniści jednak nie poparli Kozina: zaakceptowano podstawowe założenia referatu, mianowicie, że zarządzanie przemysłem urzędniczym mają organy władzy radzieckiej przy współudziale związków zawodowych, zaś zarówno jedni, jak i drudzy podporządkować się winny wytycznym RKP.

Szczególną aktywność „opozycji robotniczej” zaobserwowano w Sormowie. Wśród zwolenników tej orientacji znalazł się podpis dyrektora Zakładów Sormowskich Czernowa. Czernow pochodził ze środowiska inteligentckiego, emigrował za caratu do Ameryki Łacińskiej, wrócił po Rewolucji Lutowej. Robił wrażenie wyrobionego politycznie i erudowanego człowieka, przemawiał rzeczowo, choć niekiedy demagogicznie, potrafił argumentować. Był bez wątpienia zdolnym działaczem gospodarczym i administracyjnym. Popierał go sekretarz organizacji partyjnej Jegorow, przewodniczący Rady Zakładowej Sierow i inni członkowie egzekutywy.

W połowie stycznia na zebraniu w Sormowie wygłosiłem referat o VIII Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad. Opowiedziałem o tym, jak zjazd ustosunkował się do zadań odbudowy i rekonstrukcji gospodarki narodowej w chwili przejścia do budownictwa poko-

wyrażało sens niektórych wypowiedzi w dyskusji, było dla mnie nieprzyjemną niespodzianką: „Co się dotyczy różnych grup i platform uważamy, że zasady wyrażane przez „opozycję robotniczą” są słuszne i będziemy udzielać im swego poparcia”.

Stało się jasne, że zwolennicy Szlapnikowa wykorzystali swe dawne osobiste kontakty z wieloma sormowanami i jeszcze przed zebraniem nieprzychylnie nastawili do leninowskiej linii politycznej znaczną część komunistów Sormowa. Osobiście bardzo ciężko odczułem naszą porażkę na zebraniu w Sormowie. Miałem ciągle wrażenie, iż przemawiając musiałem coś tam zbagatelizować i chyba dlatego nie potrafiłem przekonać ludzi, nie umiałem zamaskować całej tej demagogicznej i wrogiej Leninowi „opozycji robotniczej”.

Jak i w jaki sposób zlikwidować tę niezdrową atmosferę? Jak zneutralizować wśród sormowan wpływ Szlapnikowa? Nie mogliśmy przecież siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy największe środowisko robotnicze miasta znajdowało się właściwie we władaniu „opozycji robotniczej”!

Natychmiast trzeba było przystąpić do organizowania nowego zebrania dyskusyjnego w Sormowie. Kto powinien je przygotować? — to pytanie długo nie dawało nam spokoju. Wreszcie uzgodniliśmy, że najodpowiedniejszym kandydatem będzie Ikonnikow.

Ikonnikow był wówczas sekretarzem Gorodskiego rejonu, reprezentował leninowską linię w partii, a w jego rejonie atmosfera była bardzo dobra. Przed rewolucją kierował robotą partyjną w Sormowie, więc miał tam wśród robotników rozległe kontakty. Umówiliśmy się, że pojedzie na kilka dni do Sormowa, odwiedzi prywatnie swoich znajomych, starych bolszewików, porozmawia z nimi o obecnej sytuacji w partii i wyjaśni prawdziwy sens całej tej dyskusji o związkach zawodowych. Miał im otwarcie powiedzieć, że Trocki występuje przeciwko Leninowi. Musiał to zrobić ostrożnie, by nie zwrócić na siebie uwagi sormowskiej opozycji.

Co prawda trockiści w Sormowie nie było, lecz kierowali opozycją zwolennicy Szlapnikowa, ale jedni wariaci byli drugich. Jeśli zwyciężyłaby platforma Trockiego lub Szlapnikowa, to

śluchaczy na dyskusji o związkach zawodowych. Wyraziłem przekonanie, że jeśli przyjmie na X zjeździe leninowską „platformę dziesięciu”, to partia wyjdzie z obecnego kryzysu zwarta i mocna. Chciałem, by mój referat zorientował w sytuacji obecnych na plenium sekretarzy komitetów rejonowych i powiatowych. Siencow następująco ocenił w dyskusji moje wystąpienie: „Referat Mikojana uważam za próbę wysunięcia aktualnych problemów do dyskusji na obecnym plenium i na konferencjach partyjnych w rejonach i powiatach”.

Po referacie i dyskusji danej uchwały nie podjęto. Ciekawe, że na plenium nikt z przedstawicieli trockiści i „opozycji robotniczej” nie wystąpił otwarcie, choć niektóre wystąpienia w żaden sposób nie pozwalały stwierdzić, jakie stanowisko mówca zajmuje...

Dla przykładu przewodniczący Gubernialnego Komitetu Wykonawczego Rad Chanow w bardzo zawiłym przemówieniu krytycznie wypowiedział się o tezach Trockiego dotyczących demokracji, lecz ani słowem nie wspomniał o „opozycji robotniczej” (to jest o swych kolegach z Komitetu Gubernialnego) i nie określił swego stosunku do leninowskiej „platformy dziesięciu”.

Przewodniczący Rady Gospodarki Narodowej Worobjow, jeden z aktywnych członków partykularnego ugrupowania w Niżnim, doświadczony komunista, schytny jak mądrze, iż w swoim mocno przydługim wystąpieniu w ogóle nie wspomniał o istniejących platformach, za to bardzo mgliście i długo mówił o tym, że Zachód „kroczy nie drogą rewolucji, a ewolucji, u nas zaś wyczuwa się określone tendencje rewolucyjne; Rosji natomiast potrzebna jest ewolucja, jeśli chodzi o odbudowę gospodarki... Problem związków zawodowych też trzeba rozwiązać ewolucyjnie”.

Ikonnikow z pasją zaangażował też część platformy „opozycji robotniczej”, w której dawano piękne acz bez pokrycia obietnice wszelkich „szczęśliwości” — darmowych obiadów, mieszkań, obuwia, odzieży itp. „Nie wystarczy umieszczenie tego w tezach, by uzyskać poparcie mas — mówił — trzeba również to zrobić. A dopóki nie przełamiemy kryzysu żywnościowego, obietnice te po-



ВСЕ НА ЗАЩИТУ ПЕТРОГРАДА

ra” zajmuje się tylko osobistymi intrygami...”

Mówili o tym również pracownicy Wyksuńskiego, Borskiego, Kniaginińskiego i innych komitetów rejonowych, to jest przedstawiciele tych organizacji, które popierały Lenina i krytykowały działalność w guberni zwolenników „opozycji robotniczej”.

Jakąż uchwałą zakończy się plenium? Siencow zaproponował ostrą, demaskującą istotę stosunków między członkami Komitetu Gubernialnego. Przedstawiciel „opozycji robotniczej” z Sor-

„jeśli chodzi o kliki, to część towarzyszy, jak na przykład Ikonnikow i Mikojan, występują zawsze razem i często drobiazgi hamują tok pracy, sprowadzają ją do drobiazgowości, zaś Komitet Gubernialny popelnia błąd nie likwidując tej przeszkadzającej w robocie kliki...”

Oczywiście musiałem sprzeciwić się: „My rzeczywiście zachowywaliśmy się jak klika, lecz tylko w stosunku do pryncypiów, walczyliśmy, by różnice zasadnicze

stów poparło tylko 19 członków.

Rezultaty niezbyt cieszyły, lecz było to jednak nasze zwycięstwo!

Po kilku dniach komuniści Borskiego rejonu uznali za słuszną tezę „platformy dziesięciu”. Radosna wiadomość nadeszła także z ośrodka przemysłowego Wyksy: sekretarz komitetu zawiadomił, że większość komunistów poparła platformę Lenina.

ANASTAS MIKOJAN

Tłum. SABINA NOWICKA-KOCZNOW.



POJEDYNEK

Pojedynek trwający lata — od czasów przed drugą wojną światową, poprzez zmagania wojenne, aż do finału już po wyzwoleniu. Pojedynek kończy się... Stop. Nie zdradzajmy przedwcześnie zakończenia, choć właściwie nie trudno to zakończyć przewidzieć.

Książeczkę Jerzego Bronisławskiego czyta się z zainteresowaniem. Opowieść o „pojedyńku”, jaki toczy się przez lata między oficerem „dwójki” i szpiegiem Abwehry jednocześnie, a oficerem polskiego kontrwywiadu, napisana została zajmująco. Można, co prawda, zżymać się na banalność chwytów szpiegowskich (plekna kobieta jako źródło informacji i przynęta, pozornie niedorozwinięty lokaj jako kadrowy pracownik obcego wywiadu...). Ale, być może, arsenał owych starych środków i metod istotnie nie jest zbyt bogaty — a środki oryginalniejsze noszą jeszcze nalepkę „geheim”?

Rewelacji w tej książce nie ma, ale sądzę, że Czytelnik nie odłoży jej ze znużeniem, choć na pewno nie dorównuje ona wartości i potężnej powieści „Zanim przyjdą o świcie”, czy dokumentalnej „Szablami i łechwiarzami”. Opowieść o walce dwóch ludzi za „kulisami” wydarzeń wielkiej wojny nosi bowiem znamiona konsekwentnie dużej powieści. Szkoda, że „Pojedynek” nie stał się właśnie wielowymiarową powieścią, a pozostał jedynie jednoznacznie szkieletem.

Jerzy Bronisławski „Pojedynek”, Wyd. MON, 1972, cena 8 zł. na 8 zł.

MYŚLI NIEUCZESANE

Dwieście pięćdziesiąt trzy strony aforyzmów Stanisława Jerzego Leca — czwarte wydanie w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. W takiej wysokości wydaje się u nas literaturę sensacyjną i rozrywkową. Tak więc te — podane wyżej — fakty świadczą, że „Myśli nieuczesane” zdobyły sobie we współczesnej literaturze polskiej trwałe miejsce. Są już właściwie pozycją klasyczną i dziś, w parę lat po śmierci pisarza — wyparły jego poezję z czytelniczego świadomości. Dziś Lec to „Myśli nieuczesane”.

Aforyzmy, zwiewne, dowcipne lub refleksyjne, pełne zadumy nad światem, a czasem pełne niezgody na ten świat. „Czy muszą być ludzie ze stali? — Czasem zdaje mi się, że powinni być z krwi i kości”. — „Drogowskazy stoją na miejscu”. — „Zdania są podzielone — między silnych”. — „Gdy z radością podskoczysz do góry, uważaj, by ci ktoś ziemi spod nóg nie usunął”...

Można stronicami cytować owe aforyzmy, które są przecież „samym życiem”. Wyrosły też one z życia pełnego wątpliwości i cierpienia. „Człowiekowi łamanemu kołem nie użyje zmiana kierunku obrotów”. — „Spłunąć na szmatę? Wytrze się samą”. — „Jak rosną karty? W krąg”... Czyż tak nie jest naprawdę? To nie literatura, a jeśli nawet — to literatura faktu. Stąd taka popularność „Myśli nieuczesanych”, że Lec zamknął po prostu w zwężony aforyzm doświadczenia nieobecnie nikomu.

Stanisław Jerzy Lec „Myśli nieuczesane”. Wyd. Literackie 1972, cena 30 zł.

KRONIKA POCZĄTKU WIEKU

Karolina Beylin wydała w Bibliotece „Syrenki” już trzy książki o starej Warszawie. Najnowsza dotyczy lat 1900-1914 i pomysłowa jest jako zakończenie cyklu książek o dziejach starożytności w Warszawie. Bo chociaż pod względem kalendarzowym okres ten formalnie wkraczał już w wiek dwudziesty, to w istocie, zarówno politycznie jak obyczajowo, jest to wciąż jeszcze wiek XIX, któremu kres położyła dopiero pierwsza wojna światowa.

Nie ma już dzielnic starożytnej Warszawy i takie właśnie książki wskrzeszają to miasto — przywołują do życia nie tylko ludzi, którzy w tej epoce mieszkali, ich życie społeczne, obyczajowe, kulturalne — ale także wskrzeszają ulice, domy, gmachy, instytucje.

Książki Karoliny Beylin są na dobrą sprawę literaturą dokumentalną, choć autorka stosuje beletryzację, ukazuje wypadki warszawskie często w rozmowach mieszkańców, kładzie w usta bohaterów (często zresztą postaci ze świata literatury i sztuki) słowa z książek i gazet, każe im opowiadać lub komentować. W sumie jednak — mimo tych zabiegów — jest to dokument. Nie tylko dlatego, że zdarzenia są prawdziwe, ale dlatego, że operuje autorka autentycznym zapisem z epoki.

A więc nieocenionym źródłem okazała się warszawska prasa, pamiętniki i wspomnienia. Aby jednak nie zawęzić obrazu Warszawy do publikacji okrojonych przez ówczesną cenzurę, sięga Beylin do tajnych raportów konsułów państw obcych, rezydujących wówczas w Warszawie. W sumie więc otrzymaliśmy obraz Warszawy pełny, wiarygodny i pasjonujący.

Karolina Beylin „W Warszawie w latach 1900-1914”, PIW, 1972, cena 55 zł.

Wydawnictwo PAX

- Francois Mauriac — „Burza cichnie o zmierzchu”, str. 778, cena 80 zł.
- A. J. Cronin — „Cytadela”, str. 370, cena 45 zł.
- Sigrid Undset — „Krzak gorejący”, str. 413, cena 45 zł.
- Brian Moore — „Pierwszy raz”, str. 220, cena 20 zł.
- Hanna Muszyńska-Hoffmannowa — „Kochałam Księcia Józefa”, str. 259, cena 25 zł.
- Hanna Malewska — „Przemija postać świata”, str. 625, cena 60 zł.
- Anna Siłwicka — „Miłość do wzgórz Łopatynskich”, str. 250, cena 20 zł.
- Jerzy Plechowski — „Świadkowie i truciele”, str. 196, cena 20 zł.

Wydawnictwo „Pojezierze”

- Antoni Seroka — „Trzydzieści dni obrony Helu”, str. 210, cena 20 zł.
- Tadeusz Ostaszewski — „Kuchnia Szatana”, str. 230, cena 15 zł.

Hitlerowskie podboje w Polsce, Skandynawii, Francji i na Bałkanach stanowiły tylko przystawkę do osiągnięcia celu zasadniczego — zagarnięcia olbrzymich zasobów naturalnych ZSRR, zbudowania „Lebensraumu”, przekształcenia Trzeciej Rzeszy w pierwsze mocarstwo świata.

Berlin zaczął wyobrażać sobie, że „nowa Rosja” jest w istocie starym kolosem na glinianych nogach, a ideologia komunistyczna i ustrój nie mają żadnego oparcia w terenie. Wobec takiego założenia blitzkrieg wydawał się idealnym rozwiązaniem. Armia Czerwona zostanie rozbita ostatecznie i definitywnie w pasie od granicy po Leningrad, Moskwę i Rostow nad Donem, a ludność z radością powita „nowy ład”. Naturalne zasoby kraju staną otworem przed zwycięzcami, staną się źródłem siły i bogactwa „narodu panów”.

CZ. II. WIELKA WOJNA NARODOWA

Wykorzystując moment zaskoczenia, zdobyte doświadczenia bojowe, przewagę techniczną i liczebną, 22 czerwca 1941 r. Niemcy przebijają cienką przesłonę nadgraniczną i szybko posuwają się naprzód. Lotnictwo bombarduje miasta na zapleczu, kolumny uchodźców, pasące się bydło. Totalna wojna ma dać efekt poprzez totalną dezorganizację radzieckiego

natomiast tempo dziennych zdobyczy katastrofalnie malało. Na tyłach armii zwycięzców formował się drugi front, którego nie łamały represje i masowe ludobójstwo. Tworzyły się republiki partyzanckie, a żołnierz niemiecki, choć znajdował się 200-300 km za frontem musiał pozostawać tak samo czujnym o własne życie, jak na wysuniętej placówce. Okazało się bowiem, że

żyć — doczekać się godziny wyzwolenia — rozrachunku za poniesione cierpienia.

Zmieniał się dowódca obrony Leningradu. Lecz bez względu na to, czy funkcję tę pełnił K. Woroszyłow, czy krótko G. Żukow czy małomówny L. Góroworow, każdy z nich miał pewność, że można ufać podkomendnym, że zadaniem oficerów staje się nie tyle zachęcanie żołnierzy do oporu, ile powstrzymywanie ich przed zbędną brawurą.

Gdy w listopadzie 1941 r. hitlerowcy wycięli siły, by werwać się do Moskwy specjalistami cywilni, którzy otrzymywali karty ewakuacyjne zgłaszali się z pretensjami do biur meldunkowych,

nie obronnych Moskwy, nie mogli obecnie opanować kilkunastu kilometrów kwadratowych, pokrytych ruinami walczącego Stalingradu.

Lecz sytuacja była już całkowicie inna. Zostały w pełni uruchomione rezerwy ludzkie i materiałowe socjalistycznego państwa. W ogniu walk wyrosła jakże liczna rodzina wielkich strategów, milionowe masy zahartowanych żołnierzy. Wojna wyregulowała cały szereg początkowych niedokładności w dziedzinie organizacji i pracy tyłów oraz zaopatrzenia frontu.

Na zapleczu przemysł pracował już na maksymalnych obrotach zapewniając pełne wyposażenie dla wal-



WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

POSTAWY LUDZI RADZIECKICH

aparatu administracyjnego i totalny popłoch cywilów.

Lecz reakcja „cywilów” na rozbójniczą napaść była zgoła nieoczekiwana dla dowódców Wehrmachtu. Nie panika i dezorganizacja, ale wola walki, bezwzględne poświęcenie, zbiorowy wysiłek stają się odpowiedzią ludzi radzieckich. Napływ ochotników przekracza możliwości natychmiastowego przekształcenia ich w żołnierzy, masowy udział ludności przy wznoszeniu linii obronnych, stwarza trudności w pracy i ewakuacji zakładów przemysłowych.

W chwili napaści na ZSRR Hitlerowi przyświecały dwa cele: zdobycie bogatych terenów z darmową siłą roboczą i zniszczenie ości światowego komunizmu. Strategię blitzkriegu po linii politycznej miało wspierać ogłoszenie krucjaty przeciwko bolszewizmowi.

Tymczasem Anglia opowiedziała się jako sojusznik ZSRR. USA i inne kraje kontynentu amerykańskiego nie ukrywały swych sympatii do napadniętego. Żaden z narodów okupowanych nie włączył się do „antykomunistycznego rajdu”. Przeciwnie powstanie frontu na wschodzie przywitaly one jako realną zapowiedź klęski hitleryzmu.

W myśl założeń hitlerowskiego sztabu w miarę posuwania się w głąb ZSRR opór Armii Czerwonej miał maleć, tymczasem wzrastał,

sukcesu wojennego nie można obliczać ilością zajętych, ale nie opanowanych, kilometrów kwadratowych.

Sporządzenie księgi bohaterów wojny narodowej ZSRR jest trudnym nie do wykonania. Ludzie, których czyny bezspornie zasługują na upamiętnienie nie kierowali się chęcią przejścia do historii. Z głębokim przekonaniem robili w danej chwili to, co uważali za konieczne. Motywy ich postępowania prawie zawsze były te same — narzuconą nam wojnę musimy wygrać.

Gdy we wrześniu 1941 r. pierścień blokady zaciskał się wokół Leningradu, w mieście pozostało prawie 2 miliony mieszkańców.

Tworzyli oni rezerwę obrony, ale zarazem jakże wielkie obciążenie dla obrońców. Poza zaopatrzeniem lotniczym wiązała miasto z wolną ziemią radziecką tylko cienka nitka drogi wodnej, zimą trasy lodowej poprzez jezioro Ladogę. Ostrzeliwana ogniem artylerii, bombardowana z powietrza „droga życia” jednakże umożliwiała trwanie.

Korespondenci zachodni ze zdumieniem pisali o leningradzkiej zimie 1941/1942, kiedy to dziennie z głodu i chłodu umierało kilka tysięcy cywilów, a równocześnie ludziom-widmom nie przeszła przez głowę myśl, że można kapitulować. Przekonaniem mieszkańców było: przetrzymać — prze-

złoczyli urzędnikom i oskarżali ich o szerzenie paniki. Byli bowiem przekonani, że hitlerowcy nie opanują Moskwy, dlatego częścią ewakuację uważali za przejaw małoduszności.

W tymże czasie 316 dywizja piechoty gen. J. Panfilowa zagroziła Niemcom drogę wzdłuż szosy wołokolamskiej. Kierownik polityczny jednej z kompanii W. Kłoczow w rozmowie z żołnierzami powiedział: „Nie ma gdzie się cofać — za nami jest Moskwa”.

Te słowa obiegły pododdziały dywizji. Stały się rzeczywistością żołnierską. Zginął w walce gen. Panfilow, zginęła większość jego podkomendnych, ale wróg nie posunął się naprzód.

3 grudnia 1941 r. odwróciła się karta historii. Wojska Frontu Zachodniego przeszły do ofensywy. Do połowy stycznia odrzucono Niemców od Moskwy o 100-200 km. Wyzwolono duże miasta Kalinin i Kaługę, zlikwidowano groźbę okrążenia Tuły, ważnego ośrodka przemysłowo-zbrojeniowego. Armia Czerwona zaczęła uzyskiwać przewagę nad napastnikiem, stawała się silniejsza niż na początku wojny. Wygrano czas.

Latem 1942 roku hitlerowcy wraz z satelitami rzucąją gros wszystkich swych sił na wschód. Posuwają się naprzód. Doszli na Kaukaz, dotarli do Wolgi. Lecz tak, jak późną jesienią 1941 r. nie zdołali sforsować umoc-

zonych i rezerwowych armii. Podjęty pracę ewakuowane fabryki, wyrastały nowe, budowane w warunkach wojny zakłady i kopalnie. Narody ZSRR w zgodnym wysiłku demonstrowały wrogom i przyjacielom jedność socjalistycznego społeczeństwa.

Jakże często w ciężkich chwilach odwrotu frontowi żołnierze pocieszały się słowami: „Doczekamy się! Na naszej ulicy też będzie wesele”.

Doczekał się cały naród radziecki radosnego komunikatu o wielkiej, na niespotykaną miarę zakrojonej ofensywie stalingradzkiej, o okrążeniu armii von Paulusa, o ucieczce Niemców z Kaukazu.

Czerwonarmista mierzący własnymi nogami odległość znad Wolgi i Donu do Berlina stał się bohaterem dla mieszkańców pięciu kontynentów.

Jeszcze przedstawiciele pobitej na głowę armii hitlerowskiej nie podpisali aktu bezwzględnej kapitulacji, gdy burżuazyjni historycy, socjologowie i prawnicy gorączkowo zaczęli szukać odpowiedzi na dręczące ich pytania. Gdzie tkwi źródło siły ZSRR? Jak ukształtowało się wielonarodowe społeczeństwo zdolne do tak nieprawdopodobnego wysiłku i tak zaskakującej jedności myśli i działania?

Po raz trzeci w Wielkiej Wojnie Narodowej z wyjątkową wyrazistością ujawniła się siła żywotna socjalistycznego ustroju społecznego i państwowego, gotowość narodu radzieckiego do rozwijania i utrwalaania wielkich zdobyczy Rewolucji Październikowej. Tak, jak w 1918 czy w 1920 roku i w latach 1941-1945 pokazano światu jedność spraw poszczególnego obywatela z interesem społeczeństwa, państwa, ustroju.

Dalszy ciąg ze str. 1

kafłowych piecach; po warzywa też skoczy do piwnicy. Trzeba pomóc żonie Krystynie, absolwentce biologii, która pracuje w laboratorium w Belchatowie. Przyciągnęła pana Eugeniusza pełnym wdzięku spojrzaniem czarnych oczu, z wzajemnością zresztą, a owocem tego wpatrywania się w oczy jest podobny do mamy, rezolutny, czteroletni syn, Tomek. Mały towarzyszy ojcu w wyjazdach na wsie, ale lekarzem weterynarii nie będzie, bo — jak mówi E. Foerster — to kawałek naprawdę ciężkiej pracy.

Czemu więc wybrał ten kierunek studiów? Koledzy też się dziwili. Ty — mówili — z duszą artysty, z dłońmi Michała Anioła, pójdziesz do trzebienia ogierów? Popatrzyl na swoje duże, silne dłonie i śmiać mu się chciało.

— Widział pan ten film o Leonardo da Vinci? Tam jest taka scena, kiedy mistrz bierze się do krajania zwłok człowieka, z którym przed chwilą rozmawiał. To wszystko wyjaśnia...

Ale zawsze lubił zwierzęta. Kiedy chłopcy zachlystywali się przygodami Indian,

przecież utkwili w nim mocno.

W innym wierszu pisał o podwórku — krainie dziecięcej przygody — które mieszkańcy kamienicy nazywali miejscem piekielnym. Tak, Foerster ruszył pod prąd: przyszedł z miasta na wieś.

Ludzie uciekają ze wsi do miast. Czyżby jego ucieczka była wyrazem buntu, chęcią otoczenia się sielską ciszą, żywą barwą natury?

— Moja żona też jest z miasta. Z miasta przyszli do Kluka lekarze, pracujący w Ośrodku Zdrowia, nauczyciele, dyrektor Gospodarstwa Rybackiego.

Nie chciałem mu wkładać w usta deklaracji, kiedy upierałem się, że mimo wszystko wciąż się mówi o odejściu ze wsi do miasta.

To się kończy. Ludzie będą musieli wrócić na wieś. Choćby dlatego, że wieś się starzeje.

— I zostają opuszczone gospodarstwa?

— W naszej gromadzie takich nie ma. Albo wykupują je sąsiedzi, albo osiadają na nich młode małżeństwa.

— To dlaczego mają wracać ci z miasta?

— Bo wraca również zaufanie, inaczej się cenit trud pracy rolnika. A wieś doszłusowuje do miasta. Choćby Kluki. Wszystko gotowe na utworzenie gminy. Jest szkoła, przed-

Jak się chce, to wiele można osiągnąć. Młodzi przesiadają się w wynikach, szukają dobrych przykładów. Niech pan idzie do młodego Sępińskiego, który ma 12 ha. U niego 2 konie, prawie kompletny zestaw maszyn rolniczych, dom murowany, z łazienką i centralnym ogrzewaniem, własna hydrofornia, w oborze automatyczne poidła, a w podwórku nowa „warszawa”...

— Tylko kto z miasta może wrócić do takich luksusów? — Do luksusów nie, ale do wracania ci z transportu, z budowy, którzy w ciężkiej robocie wyciągają 2,5 tys. na miesiąc. Bo na wsi, przy obecnych cenach mleka, a przy mniejszym nakładzie pracy, można w ciągu miesiąca uzyskać te same pieniądze z dwóch średnio dojnych krowek...

To, co mówił Foerster, jest dość przekonujące. Mimo to rozejrzałem się wokół. Przecież ludzi może przyciągać Belchatów. Gdzie tam, śmieją się, ta fabryczka cukierków i zakład włókienniczy?...

— Ale kiedyś ruszy kopalnia...

— To dobrze! Wszyscy na to czekają. Będą nowe drogi, sklepy, lepsze zaopatrzenie. Dla zatrudnionych w przemyśle trzeba będzie produkować dużo żywności, ale do tego przemysłu pójdą niechętni. Ci, siedzący na 2-3-hektarowych „kłniach”,

Część ziemi zabierze kopalnia. Nikt tego nie będzie żałował. Piaski wiatrem przewiane. — Mnie, proszę pana — powiedział jeden z rolników —

Na różne historie trafiał u progu swej pracy Foerster. Na „urok i „urzyk”. Jest taka „choroba poświęcenia” u konia. Koń długo stoi i jak dobrze karmiony, to gromadzi duży zapas białka. Przy robocie poci się mocno, wystarczy go jednak okrzyk derką, wytrzeć, aby choroba minęła. Chłop wyciągał więc z rozporka kawałek i to koniecznie brudnej koszuli, pociął konia i przepędził urok. Ale nie zawsze się to udawało. I wtedy był urzyk, znaczy rąkarz mógł mieć jakiś profit.

Krowa ma trzecią powiekę. Kiedy krowa zachorowała, zagladano jej w ślepię i kalecząc zwierzę, usuwano „paskudnika”, poprzez rozrywanie agrafką też trzeciej powieki. Chorego konia spotykał podobny los: chcąc wypędzić chorobę, rozcinano żyłkę czy brzytwą węży chłonne...

O smarowaniu spirytusem chorych dzieci, kładzeniu na szałwie i przeciągnięciu jej rogów, nie warto wspominać. To wszystko odchodzi... Doktor Foerster styka się z ludźmi na co dzień, wygłasza pogadanki na szkoleniu rolniczym. Mówi o zwalczaniu chorób świń, bydła, ptactwa domowego; informuje o sposobach wy-

mięsa do ubojów, dyżury w masarniach.

Wędrówki do porozrzuconych wśród lasów zagrod.

Siedemnaście wsi. Najdalej, Nowy Janów i Strzyżewice, oddalone o 12 km od Kluka. E. Foerster i pomagający mu technik, którego praca jest nie mniej uciążliwa, ale bardzo ważna, dysponują ambulansem weterynaryjnym. Kierowca ambulansu pracuje do godz. 15. Lekarz całą dobę. Trzeba więc jeździć własnym samochodem. O piątej rano, w nocy także.

— Było i tak — śmieje się pani Krystyna — że maź wstawał od stołu wigilijnego i jechał do cielacej się krowy.

— Oczywiście! Zimą i podczas roztopów stawałem w pół drogi i albo pieszo, albo wozem czy saniami docierałem do zagrody chłopskiej. Ale cieszyło to, że chłopcy mają do mnie zaufanie, że starają się bardzo o zdrowie zwierząt. No, ale też korzystają z wielu udogodnień. Za przyjazd do zagrody płać najwyższe 50 zł, resztę reguluje państwo. Organizacja spędów podczas akcji profilaktycznej też zaoszczędza im czasu i pieniędzy. Niebawem wszelkie szczepienia będą bezpłatne.

A więc mimo tej uciążliwości — zadowolenie z pracy. Mimo tego, że nieraz trzeba być „własnym” woźnym i sekretarzem.

Cieszy poszerzający się warsztat pracy. Foerster z dumą oprowadza mnie po

— Panie doktorze — zadyszany rolnik mówi z trudem — nieszczęście... zmija krowę w wymię ugryzła. Kojnie mi bydlę!

Lekarz wie, że to nie groźnego. To po prostu zwykłe zapalenie wymienia.

— Panie doktorze, świnię mi zdychają — donosi po chwili drugi.

Trzeci krzyczy, że mu zdycha krowa.

Gdzie jechać? Bo choć do legendy należy, że chłopu dziecko umiera, a on młodzi się o zdrowie konia, lecz do dziś na punkcie zwierząt jest czuły. No i sytuacja, można by rzec, dramatyczna.

Lekarz jedzie do „zdychającej” krowy, która wszakże nieźle się czuła. Potem do świń, na końcu do zapalenia wymienia, które zgłoszono najwcześniej. A tam awantura! Komitet Powiatowy partii poruszony, dwie inne lecznice, trzech lekarzy zjeżdża, czas traci. Ech...

Inne przypadki. Chłop przynosi mięso do badania. A w chałupie handel idzie, gotowe kiełbasy się sprzedaje, kaszanki. Mięso poodejrzanie wygląda, trzeba gnać do wsi, przy pomocy MO wstrzymać handel, zbadać należało, żeby ludzie nie posmakowali szpitalnej

Zawracanie rzeki



Rys. A. Grun

cowbojów, piratów, on zdążył przeczytać wszystkie książki z biblioteki rejonowej.

Kiedys wyznał: (...) gdyby był budowniczym ziemi, ulepiłbym ją z gestwiny spojrzeń, z głosów ochrypłych, z oddechów twardych, lecz nigdy z Atomów (...)

W poetyckim widzeniu świata pragnął zachować wrażliwość, uciec od surowości dnia powszedniego. A

szkołe. Ośrodek Zdrowia z mieszkaniem dla lekarzy. GS, Kółko Rolnicze, anteny telewizyjne na dachach, biblioteka. Ludzie czują potrzebę stworzenia lepszych warunków. Z inicjatywy mojego poprzednika, technika weterynarii Z. Zakrzewskiego, wzniesiono czynnem społecznym Wiejski Dom Kultury z salą widowiskową i klubem „Ruch”.

— Ale Kluki to siedziba gminy!

— W innych wsiach też widać zmiany. Ja już nie wchodzę do chlewików na czworakach. Młodzi ludzie, którzy dotąd trzymali po dwa świniaki, teraz hodują po 20 sztuk! Bo się opłaca. U nas ziemię biedną, ale

podczas wstępnych prac wiertniczych woda zalała pole. Postawiłem groble, hoduję karpie i dobrze na tym wychodzę...

Wróćmy jednak do osoby Foerstera...

Rumenotomia — zabieg chirurgiczny, polegający na cięciu żołądka — była niegdyś rzadko stosowana i trudna do wykonania. Dziś stała się zabiegiem praktykowanym często. E. Foerster też go dokonywał, już na początku swej pracy w Klukach. Po jednej z takich operacji ułożył na stole wyjęte z żołądka krowy 24(!) druty i gwóźdźki. I wtedy przyszła starsza kobieta z krową, której należało usunąć trochę „ziomu”.

— Rozetniesz pan bydło? Przecież zdechnie!

— Ale to konieczne. Zresztą jeszcze żadna krowa nie padła. U jednej wyjąłem 15 drutów, u drugiej — 8, a u waszego sąsiada chyba z 10. O, a tu dopiero co, aż 24 się nazbierało.

— No, dobra, panie doktorze — babcia na to — a ta moja Łaciata, to ile tak powinna mieć prawidłowo?...

chowu prosiat i żywienia zwierząt gospodarczych.

Ale to tylko, choć też niezmiernie ważne, niejako margines pracy. Najcieńsza jest „kowska” robota na co dzień, kiedy mdleją „uwalane w kale i krwi” dionie. Np. trzebienie ogierów. Farmakologiczne (zastrzyk) kładzie się konia, rolnik odciąga nogę na linie, lekarz tnie mosznę, zaciska kleszcze na powrózkach nasiennych; rolnik puszcza linę, koń wstaje. Ot, chwilowe porażenie mięśni oddechowych. Proste, bezbolesne, humanitarne...

Kiedy nie ma zastrzyków, można zabieg wykonać w pętach, ale linka zleci, a kopyto w głowę... Jeden inseminator przejechał się już do szpitala...

Trzebienia nie robi się dla fantazji. Trzeba likwidować dzielnice rozplodniki, bo dopóki istnieje gospodarka indywidualna, potrzebny jest dobry koń. Konie nas nie zjedzą, najwyżej osły...

Codzienna praca. Leczenie krów jałowych, walka z gzem, akcje szczepień, odbieranie cieląt, badanie

swojej „Izbie przyjęć”, dużej, czystej, nieźle wyposażonej; pokazuje aptekę, będącą w budowie salę chirurgiczną, liczne boksy dla zwierząt.

Czy pośród tej codziennej harówki znajdzie choć trochę wolnego czasu? Tak, pisze przecież prace naukowe „do” specjalistycznych pism. Nie zaniedbuje również poezji, interesuje się historią.

Trudno by mu jednak było zdobyć się na pracę doktorską. To bardzo pracochłonna historia, wymagająca odpowiedniej bazy naukowej. Chociaż np. w tuż czarni, przy trzech tysiącach sztuk, można by było coś zrobić. To już jest materia... Niebagatelna sprawa będzie też pomoc w zakresie studiów doktoranckich, które mają rozszerzyć swą działalność.

Foerster, jakkolwiek w swej pracy napotyka pewne trudności, dość optymistycznie, z zapalem mówi o przyszłości. Na ogół zadowolona go też obecna sytuacja w służbie weterynaryjnej. Ale Kluki to tylko jeden mały ośrodek na mapie województwa i kraju...

kawki lub wachania kwiatków od korzonków...

— Wściekły pies mi pogryzł chłopaka — mówi kobieta.

Paskudna sprawa. Dwa-dziesięć igieł w brzuchu. Trzeba jechać na miejsce. Pies leży w rowie zakatrupiony. Jak wyglądał?

— Ano, tak się chwiał, lał za mną, ślina mu ciekła z pyska, to żem go biczyskiem zajechał.

Trzeba leć uciąć, zawieźć na badanie do Łodzi. Rolnik nie pojedzie, lekarz weterynarii musi sprawę załatwić.

— Przychodzą chłopcy z innych rejonów — zwierzał mi się jeden weterynarz — wzywają pomocy, więc jadę.

Tu również obowiązują etyka zawodowa.

Tu nie wystarczy wypisać recepty. Trzeba pomóc w jej realizacji.

Po co ja to piszę? Po to, żeby podkreślić znaczenie tego zawodu. Bo weterynaria od najdawniejszych lat była związana z medycyną.

Czy dziś nie jest też pionem służby zdrowia? Przecież zwalczając choroby

aspekcie samego upowszechniania książki, bo także w ogólnym rozumieniu szerzenia wiedzy o współczesnym świecie.

Początkowo zasadniczym celem było zainteresowanie organizacji i instytucji społeczno-politycznych oraz kulturalno-oświatowych sprawami piśmiennictwa politycznego i upowszechnieniem jego czytelnictwa. Naczelnym zadaniem wydawców, księgarzy i bibliotekarzy było zaprezentowanie ogółowi społeczeństwa dorobku literatury społeczno-politycznej, poinformowanie, co wydajemy z tej dziedziny i jacy edytorzy tym się zajmują.

Zmienił się przez ten czas klimat wokół książki społeczno-politycznej. Jej walory ideowo-wychowawcze i poznawcze stały się coraz bar-

ziej doceniane, rośnie sprzedaż tego typu publikacji w księgarniach i ilość ich wypożyczeń w bibliotekach. Złożyło się na to dążenie wszystkich środowisk społecznych do pogłębienia swej wiedzy o współczesnym świecie, jego problemach i prawidłowościach rozwoju. A bierze się to stąd, że żyjemy w okresie epokowych przemian, a więc nie może się dziać bez nas, bez naszego poznania i zrozumienia, bez naszego świadomego udziału. Wynika to też z intensyfikacji działalności ideowo-wychowawczej partii, stronnictw i organizacji masowych, systematycznej pracy propagandowej i informacyjnej na rzecz literatury społeczno-politycznej. Wreszcie z poprawy treści i szar-

ty edytorskiej tej grupy wydawnictw.

Można już z pełnym przekonaniem stwierdzić, że zainteresowanie książką społeczno-polityczną trwa cały rok. Czytelnicy szukają dobrych książek politycznych, a wydawnictwa starają się im je dostarczyć. Z ogólnego dorobku piśmiennictwa społeczno-politycznego wybiera się też książki, które podejmują tematy najbardziej ludzi interesujące, odpowiadające ich zainteresowaniom.

Tegoroczne Dni Książki Społeczno-Politycznej przebiegają w klimacie obchodów 50 rocznicy powstania ZSRR, a więc popularyzować będą wiedzę o Kraju Rad, jego dorobku politycznym, kulturalnym i gospodarczym, jak również o historycznym znaczeniu powstania ZSRR dla

przeobrażeń współczesnego świata oraz szczególnym znaczeniu dla naszego narodu i kraju. Autorzy wielu publikacji podjęli też próbę ukazania zmian społeczno-politycznych, jakie zaszły w kraju po VI Zjeździe PZPR. Tegoroczne Dni Książki Społeczno-Politycznej odbywają się w Międzynarodowym Roku Książki, a hasło „Książka dla wszystkich” znakomicie uzupełnia popularyzację książki politycznej we wszystkich środowiskach.

W czasie dekady następującej z reguły ożywienie kontaktów czytelników z autorami i wydawcami literatury społeczno-politycznej. Odbywa się wówczas cały szereg spotkań połączonych z dyskusją. Jest to na pewno bardzo dobra forma zbliżenia książki do od-

biorcy. Dużą rolę odgrywają też kolporterzy, którzy pomagają w organizowaniu kiermaszy i popularyzują książkę społeczno-polityczną w zakładach pracy.

Cztery lata temu, kiedy po raz pierwszy przystępowano do organizowania Klubu „Człowiek — Świat — Polityka”, nikt nie przewidywał, że inicjatywa ta spotka się z tak pozytywnym przyjęciem wśród czytelników. Klub już w pierwszym roku istnienia zdobył 22 tys. członków, którzy zamówili 136 tys. książek o łącznej wartości 4 mln zł. W roku następnym członków było już trzykrotnie więcej, bo 66 tys. — zamówili oni książek o wartości 14 mln zł. Te wyniki w pełni potwierdziły celowość i potrzebę tego przedsięwzięcia oraz rozwały różne wątpliwości co do skuteczności tego rodzaju formy upowszechniania czytelnictwa literatury społecz-

FABRYKA W POLU

Dalszy ciąg ze str. 1

zwierząt — chroni się zdrowie ludzkie.

Przykłady:

Parazytologia — zapobieganie przechodzeniu zarazków ze zwierząt na ludzi.

Akcja zwalczania gruźlicy i brucelozy.

Od weterynarzy zależy, jakie jemy wędliny (tak jest!) i jakie pijemy mleko, bo zabiega się o higienę dojenia.

Wszystko to dzięki profilaktyce, nie umniejszając zresztą znaczenia samego leczenia.

A jakież ogromne znaczenie gospodarcze. Zwiększone ilości mięsa, masła, jaj, mleka na rynek. Wpływy dewizowe za eksport. Dobra akcja profilaktyczna, to uniknięcie pomoru. A pomór niesie z sobą milionowe straty...

— Proszę pana — powiedział mi technik weterynarii z powiatu pajęczanickiego. — My się więcej liczymy u rolników, niż lekarze z Ośrodka Zdrowia. No nie, może to przesada, ale faktem jest, że mają do nas dużo zaufania. Codziennie, bezpośrednio kontakt powstaje, że każdy z nas jest dla nich „swoją chłop”. Przed lekarzem medycyny czują respekt, są bardziej niesmiali, mniej szczerzy i otwarceni...

— Czy wszędzie was tak doceniają?
— No, robi się już wiele, ale zaniedbanie też jest sporo...

Właśnie. Podczas wyjazdów w teren często miałem możliwość rozmawiać z pracownikami służby weterynaryjnej. Wynika z tych rozmów, że lekarze weterynarii, ten na równi z nauczycielstwem, lekarzami medycyny i agronomami trzon inteligencji wiejskiej, czeka jeszcze na rozwiązanie wielu palących, trudnych spraw życiowych.

Mieszkania. Zeby nie być głośliwym, oprę się na wypowiedzi H. Zakrzewskiej, zamieszczonej w numerze 11 „Życia Weterynarii” z 1970 roku, która pisze, że z przedstawionych typów agromów, do zamieszkania i pracy lekarzy weterynarii przystosowany jest typ III i IV, czyli bardziej znośny i wygodny. Ale agromów typu III jest tylko 300 na terenie całego kraju, typu IV zaś — zaledwie dwie: w woj. łódzkim i zielonogórskim. Oczywiście, dane te pochodzą z 1969 roku, a więc mogła nastąpić pod tym względem pewna poprawa.

Ważną sprawą jest również unormowanie dnia pracy. Weterynarz też człowiek, chce wieczorem zobaczyć krawaty i pojechać do teatru lub kina.

Dalej — warunki socjalno-bytowe. Pracownicy weterynarii postulują o przydział ogródków warzywnych, garaży, pomieszczeń na sprzęt gospodarczy; domagają się, ze względu na higienę, utwardzonych nawierzchni podwojek przy lecznicach.

Unowocześnienia wymaga też sam warsztat pracy. Nie można posługiwać się wciąż starymi narzędziami typu: strzykawka, skalpel, konopna linka i butelka. Są wprawdzie, dla przykładu, nowoczesne noże chirurgiczne, ale... nie nadają się do użytku...

A gdzie konieczne w obecnej dobie zestawy ortopedyczne i dentystyczne?...

Dopóki nie wpłyną nowe wnioski racjonalizatorskie i nie zostaną zrealizowane, to powiatowe przychodnie weterynaryjne nie będą mogły wyposażać lecznic w terenie w należyty sprzęt.

Stop! Tu muszę przyznać. Obawiam się, że mogą zrobić porządek piskusa E. Foersterowi.

Idzie o to, że Stowarzyszenie Techników i Lekarzy Weterynarii powołało Komisję Prasową, której zadaniem jest m. in. propagowanie zawodu weterynarza. Foerster jest członkiem tej komisji. I ja miałem dobrze napisać o pracy służby weterynaryjnej, zachęcić do wstępowania do tej służby.

Wyszło trochę na czarno. Ale to nie wina Foerstera. U niego jest nieźle. Cały powiat bełchatowski, choć mały, jest pod tym względem zadbane i szczyt się ładnymi osiągnięciami. Ale powiat to tylko mała część województwa, jeszcze mniejsza kraju...

Tym niemniej należy chyba patrzeć w przyszłość z optymizmem. Coraz żywszą działalność przejawia Stowarzyszenie Techników i Lekarzy Weterynarii, jak również Związek Zawodowy Pracowników Rolnych. Dla lekarzy weterynarii buduje się campingowy ośrodek wczasowy nad morzem. Obecnie stawiane agromówki coraz bardziej odpowiadają wymogom wygodnego, komfortowego mieszkania. Po roku, czy dwu latach pracy lekarz może nabyć na dogodnych warunkach samochód.

Ulegną też rozwiązaniu inne, trudne sprawy. Bo stawia się, jak nigdy dotąd, na rolnictwo. Madra polityka partii i rządu zawróciła rękę. Rękę uciekinierów do miast. Inni już wcześniej poszli pod prąd tej rzeki. Tak jak E. Foerster. Młody, wciąż uśmiechnięty chłopak, czasem zadumany, potrafiący pogodzić pasję artystyczne z trudną, codzienną pracą. Tacy są na wsi potrzebni. Bo:

— Panie, myszy mi się rozpleniły w obejściu.
— Dam truciznę i kłopot z głową.
— Eee, to mi kury, a nie daj Boże i inne stworzenie wyzdycha. Wolę swoim sposobem...
— No?...

— Idę od Jłowca do stoika kładę i stawiam na stole.
— I co?
— Myszy przychodzi, wachają, krecą łbami, a ja wtedy siek! szcztoką i tyż z głowy...

Tak, jest jeszcze wiele do zrobienia...

RYSZARD BINKOWSKI



nowość wywiązywania się ze zobowiązań — to podstawowe warunki pomyślnego rozwijania akcji klubowej.

Tak więc różnorodność form i środków popularyzacji literatury społeczno-politycznej jest charakterystyczną cechą programu obchodów Dni Książki „Człowiek — Świat — Polityka”. Jednak w obecnej chwili system akcyjnego upowszechniania książki poprzez organizowanie różnego typu dni, już nie wystarcza. Istnieje potrzeba opracowania stałego, kompleksowego programu popularyzacji literatury społeczno-politycznej, który byłby realizowany w ciągu całego roku. Byłaby to odpowiedź na stały wzrost zainteresowania książką polityczną — wartościową i pożyteczną.

no-politycznej. Jednak trzecia i czwarta edycja tego typu książek wykazała, że niedotrzymywanie terminów przez wydawców i proponowanie nie zawsze atrakcyjnych tytułów, a także pewne niedostatk organizacyjne spowodowały spadek zainteresowania Klubem. Przyszłość Klubu zależy więc przede wszystkim od wydawców. Dobór naprawdę ważnych i interesujących książek (niestety zestaw na rok 1973 nie wskazuje na poprawę), staranne opracowania edytorskie i graficzne, termi-

ADAM NONAS

stacji Biela Rawka) 45 minut. Budowano je jako wytwórnię konstrukcji stalowych „MOSTOSTAL”, ale w lipcu 1963 roku ruszył już jako „CHEMOSTAL” — wytwórnia aparatury chemicznej. Od stycznia 1970 roku są „RAWENTEM”. Wraz ze zmianą nazwy przyszła zmiana zjednoczenia. Przedtem był „CHEMAK”, teraz jest „KLIMAWENT”.

Te pozornie formalne zmiany są odbiciem wielu kłopotów fabryki. Stanowią one kolejne rozdziały historii kształtowania się klasy robotniczej w Skierniewicach, przeobrażeń środowiska, które położone na skraju województwa łódzkiego nie utraciło jeszcze tendencji odśrodkowych, nie wrosło dostatecznie silnie w regionalny organizm Ziemi Łódzkiej. Stąd bierze się drugi kłopot fabryki — stały ruch ludzi, migracja, czy — jak kto chce — fluktuacja.

Ludzie zdobywają kwalifikacje w „RAWENCIE” (a poprzednio w „Chemostalu”) i szybko przenoszą się do pracy w „URSUSIE”, w fabrykach Pruszkowa i Żyrardowa. Bywa i tak, że okoliczni rolnicy decydują się na trudności dojeżdżania do „RAWENTU” i stania się chłoporobotnikami tylko po to, aby podszkolić się fachowo i uplasować się jako mechanicy w okolicznych POM czy kółkach rolniczych. Jest to — co by się o tym nie mówiło i myślało — niewątpliwie pozytywny wpływ fabryki, ale co ona ma z tego? „RAWENT” mógłby na przykład zwiększyć swoją produkcję o około 50 proc. WARUNEK: trzeba byłoby zatrudnić jeszcze tysiąc ludzi. Przede wszystkim rzemieślników, w tym ślusarzy i spawaczy. A tych nie ma na rynku pracy w Skierniewicach. Szkoli się więc fachowców w szkole przyzakładowej, szkoli się ludzi na kursach, ale rezultaty tego szkolenia — biorąc pod uwagę poprawkę na ewentualny „roziew” absolwentów — widoczne będą dopiero po kilku latach.

Fabryka nie ma też dostatecznie przygotowanej kadry kierowniczej, a przede wszystkim rezerwy kadrowej. A zakład — wydawałoby się — jest atrakcyjny dla młodych inżynierów. Daje im bowiem możliwość nie tylko zdobycia niezbędnej praktyki zawodowej, ale i wykazanie inicjatywy i pomysłowości przy rozwiązywaniu wielu problemów technicznych i technologicznych. Tu — w „RAWENCIE” — można szybko dorobić się wielu osiągnięć: projektów racjonalizatorskich, a nawet wynalazków. A mimo to chętnych jest niewiele.

Są w „RAWENCIE” ludzie doświadczeni, którzy pracują tu od samego początku. Oni to stanowią podstawowy trzon załogi. Należą tu również ludzie, kierujący poszczególnymi oddziałami i wydziałami. Ale są i tacy, którzy nie potrafią już podjąć nowego zadania, którzy stają bezradnie wobec nowych zagadnień technicznych i technologicznych. To właśnie na ich miejsce powinni przyjść nowi ludzie, w „RAWENCIE” już wychowani i tu do pracy przygotowani.

Swego czasu Zjednoczenie „Chemak”, fundując stypendia dla młodych inżynierów, pomyślało i o potrzebach „Chemostalu”. Ale wraz ze zmianą rodzaju produkcji dla ludzi tych nie będzie w „RAWENCIE” nie do roboty, choć fabryka wytwarza jeszcze — niejako poślizgiem — urządzenia dla fabryki chemicznych. Główną jej produkcją są jednak urządzenia odpalające — przeznaczane przede wszystkim dla odbiorców zagranicznych. Dla kraju — wbrew tylu słowom, które wypowiedziano i napisano o ochronie środowiska i poprawie warunków pracy — robi się minimalne ilości.

— Umarlibyśmy z głodu — mówią w „RAWENCIE” — gdybyśmy tylko liczyli na krajowe zamówienia.

„RAWENT” otrzymał ostatnio poważne zamówienia od przemysłu okrętowego. Rozpoczął wytwarzanie luków okrętowych. Ta różnorodność produkcji też nie sprzyja stabilizacji załogi. Zmieniają się robotnicy, zmieniają się kierownicy, dokonuje się ryzykownych czasem pociągnięć, stawiając na czele poszczególnych działów fabryki ludzi młodych, trochę na zasadzie „rzucania na głęboką wodę”: da radę, skorzysta z szansy — wygra; nie da rady, rzucimy następnego! Zmieniają się też dyrektorzy.

ÓSMY Z RZĘDU

Zdania są wprawdzie podzielone. Jedni utrzymują, że STANISŁAW JAKUBOWSKI jest siódmym dyrektorem „RAWENTU”, inni — że ósmym. On sam macha na to ręką i uśmiechając się z zażenowaniem, pyta retorycznie: — czy to ważne?

STANISŁAW JAKUBOWSKI zaczął jako robotnik w Stalowej Woli. Po wojnie ukończył technikum hutnicze. Pracował w Hucie „Batory”, potem znów się uczył — tym razem ekonomii, aby awansować na planistę produkcji w Centralnym Zarządzie Przemysłu Hutniczego, skąd po 6 latach przeszedł do Centralnego Zarządu Przemysłu Stali Specjalnych, gdzie był kierownikiem produkcji. Zresztą nie zbyt długo, bo skierowano go na studia — na wydział metalurgiczny Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Już z dyplomem inżyniera metalurga, specjalisty od plastycznej przeróbki metali, skierowano STANISŁAWA JAKUBOWSKIEGO do Ministerstwa Hutnictwa, gdzie został wicedyrektorem departamentu planowania. Długo jednak nie zabawił w Warszawie. Powrócił na rodzinny Śląsk, do Huty „Balidon” na stanowisko szefa walcowni bruzdowej, potem został dyrektorem technicznym Huty „Świerczewski”. Tu pracował nieco dłużej, bo 9 lat. Po tych 9 latach znów przeniesienie. Tym razem do Małej Panwi, skąd już prosto do Skierniewic — do „RAWENTU”.

Dyrektor Stanisław Jakubowski jest człowiekiem energicznym i bezpośrednim. Ludzom mówi to, co o nich myśli, ale robi to z życzliwością i humorem. Czasem jednak dowcipem zabarwiona prawda, powiedziana z uśmiechem, boli bardziej niż klasyczna polajanka. Nie brakuje mu okazji do wypowiedziania uwag krytycznych. Duże doświadczenie, zdobyte przez 30 lat pracy w hutnictwie, nie pozwala mu przechodzić obojętnie obok ludzi, ich spraw i spraw fabryki.

Rozmawialiśmy o fabryce, o środowisku, dla którego tę fabrykę wybudowano w polu, o zmianach, jakie już zaszły w samych Skierniewicach i jakie jeszcze powinny zajść. I tak rozmowa zesłała powoli na dyrektorskie sprawy. A dyrektorzy — jak wszyscy ludzie — też mają swoje kłopoty.

Różnie to bywa na dyrektorskich stołkach — powiedział uśmiechając się w zamysłach dyrektor Stanisław Jakubowski, jakby przeglądając w pamięci rejestr swoich dyrektorskich i kierowniczych doświadczeń. Zdarzają się problemy, z którymi każdy dyrektor spotyka się na co dzień, a którym nie jest w stanie podjąć. Kiedy tak myśli o tym, to dochodzi do wniosku, że byłoby dla każdego z nas znacznie lepiej, gdyby nakreślono nam wy-

raźnie cel pracy i nie przewracano po drodze zamierzeń ustalonych z początkiem roku.

— Dyrektoruję już 16 lat — mówi dalej Stanisław Jakubowski — i mogę powiedzieć, że największą klęską jest jednoczesne kierowanie nami z różnych szczebli. I tu — w „RAWENCIE” — również to odczuwam. Dostaję na przykład polecenia bezpośrednio z resortu, ale też ingeruje w nasze sprawy przemysł stoczniowy, bo i dla nich jeszcze niech przecież robimy, ingeruje „Chemak”, bo i dla nich jeszcze robimy, ingeruje bezpośrednio nasz zwierzchnik — „Klimawent”. W takim układzie dyrektor, jako szef zespołu kierowniczego fabryki, ma najmniej do powiedzenia. A jak można kierować jakimkolwiek zespołem ludzi, mając tak mało do powiedzenia.

A bierze się to stąd, że na różnych szczeblach nie dokonuje się właściwego bilansu potrzeb. Wtedy, gdy w ciągu roku zjawiają się poważne zamówienia, podyktowane interesem państwowym, to lokuje się je bez należytego uzasadnienia, co wprowadza zamieszanie w fabryce. I my na tym cierpimy. Przykładem mogą być zamówienia przemysłu okrętowego, które wymagają większego nakładu pracy, niż na początku planowano. Powstają opóźnienia przy realizacji innych zamówień. My rozumiemy, że nagłe zamówienia podyktowane są interesem państwowym. Ale to my tu musimy odpowiedzieć ludziom, dlaczego — planując rozwój przemysłu okrętowego — nie pomyślano wcześniej o lokalizacji zamówień dla budowy luków okrętowych.

TRZY WIELKIE MARZENIA

Przed biurkiem „RAWENTU” parking, skwer i zbiornik na wodę. Nad pustym zbiornikiem zakłada się siatkę z grubych lin stilonowych.

— Po co to? — pytam robotników.
— A nie widzi pan — pokazują mi grupę małych chłopców, którzy barzaskują na krawędzi zbiornika i już chętnie weszliby na stilonową siatkę. — Dla ich bezpieczeństwa.
— Wpadali do wody?
— Albo to raz!

Za okrywanym siatką basenem ulica, a za nią bloki. Fabryka stojąca w polu obrasta osiedlem. Jest tu szkoła. Ale nie więcej. Mieszkańcy osiedla mają wprawdzie blisko do pracy, ale daleko do sklepu, fryzjera, czy kina lub kawiarni. „RAWENT” będzie więc następne domy budował w Skierniewicach. Chętnym pomoże się też przy budowie domków jednorodzinnych. W osiedlu przy fabryce powstaną natomiast sklepy i punkty usługowe. „RAWENT” — choć stoi w polu i trzeba stracić 45 minut, aby dojechać do fabryki — jest czynnikiem miastotwórczym, jest czynnikiem, który zrewolucjonizował nieuprzemysłowiony, biedny rejon ludzi, skazanych dawniej na stałe poszukiwanie zarobku, albo klepanie biedy w nędznych wiejskich chatkach.

Gdyby spojrzeć na najbliższy rejon Skierniewic z perspektywy czasu, polazić po wsiach, to łatwo można spostrzec jeden ze skutków uprzemysłowienia. Nowe, murowane domy, stojące obok starych opuszczonych, drewnianych chałup. To skutek poprawy sytuacji materialnej rolników, którzy zdecydowali się stać również robotnikami. I jest w tym zasługa „RAWENTU”, jak i zasługa innych fabryk skierniewickich. Ale nie jest to jedyny miernik uprzemysłowienia. Drugim — trudnym wprawdzie do uchwycenia — jest wzrost poziomu oświaty w tym rejonie. Wynik — rozbudowy szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego, w tym szkół przyzakładowych, a wśród nich i szkoły „RAWENTU”. I choć fabryka, przygotowując fachowców, sama stale popada w kłopoty z rzemieślnikami, to ze społecznego punktu widzenia odgrywa ona pozytywną i wcale niebagatelną rolę w procesie przekształcania tego rejonu Ziemi Łódzkiej.

Ala to nie wszystko. Na tym nie kończy się jej miastotwórcza rola. „RAWENT” stawia sobie większe i trudniejsze zadania. Wynikają one ze zrozumienia obecnej sytuacji fabryki i jej przyszłości, uzależnionej od silnych związków ze środowiskiem. Te związki kształtują się samoczynnie, ale proces ten trzeba intensyfikować, trzeba nim kierować. I stąd biorą się TRZY WIELKIE MARZENIA ZAŁOGI „RAWENTU”.

MARZENIE PIERWSZE — DOM TECHNIKA. Skierniewicom bardzo przydałby się wielki dom kultury. Nie ma tu kina z prawdziwego zdarzenia. Nie ma możliwości spotkań dość licznej społeczności techników, inżynierów, wykwalifikowanych robotników. A takie spotkania są potrzebne nie tylko dla rozwoju życia towarzyskiego. Są potrzebne choćby dla odpoczynku po pracy, ale i dla rozwoju życia intelektualnego: spotkania, odczyty, dyskusje. Załoga „RAWENTU” marzy się więc taki dom kultury, który stanowiłby ośrodek życia intelektualnego dla całego miasta. Przecież w Skierniewicach są też dwa instytuty naukowe, są lekarze, nauczyciele, prawnicy.

Czy sami podają w spełnienie tego marzenia? Wydaje się, że będzie ona realnie tylko przy połączeniu wszelkich funduszy i zamierzeń wszystkich skierniewickich zakładów pracy. Przykład Kutna, gdzie właśnie w taki sposób wybudowano ładny i nowoczesny dom kultury, powinien być natchnieniem i wzorem dla Skierniewic.

MARZENIE DRUGIE — KOMUNIKACJA. Na wszystkich zebraniach i dyskusjach stale powtarza się postulat poprawy warunków pracy i wypoczynku. Wołanie o nowoczesny, własny ośrodek wczasowy. O możliwość odpoczynku niezależnego. Lepiej zorganizowany odpoczynek po pracy. Ale w tym wszystkim stale postuluje ustanowienie stałej komunikacji między fabryką a miastem. Obecnie autobusy PKS dowożą ludzi do pracy i zacierają z pracy. Przez pozostałe osiem godzin, a fabryka pracuje na dwie zmiany, jest więc tych godzin w sumie 16, do „RAWENTU” ze Skierniewic można dostać się tylko koleją lub okazjnym samochodem. Okazji nie ma zbyt wiele. Potrzeb — więcej. Przydałby się, wahałdowo kursujący autobus; ale miasto nie ma własnej komunikacji. Dla PKS — byłyby to kursy nierentowne. Któż więc spełni to marzenie załogi „RAWENTU”? A spełnić je trzeba będzie wcześniej, czy później. Lepiej wcześniej, bo i korzyść z tego będzie dla fabryki i miasta.

TRZECIE MARZENIE — WYJŚCIE Z IMPASU Stracić złą sławę, stać się fabryką, o której wszyscy będą mówili dobrze, która będzie chlubą miasta, a nie synonimem kłopotów. Wydaje się, że „RAWENT” jest już na najlepszej drodze do likwidacji swoich kłopotów. Nie stanie się to szybko. Potrzeba na to jeszcze czasu. Takie są konsekwencje budowania fabryk w polu. Nie tylko dostojnie. Również w przenośni: w pustym polu ludzkich możliwości, gdzie są chętni do pracy, ale nie ma ludzi z niezbędnymi kwalifikacjami. Gdzie nie ma technicznych i robotniczych tradycji. Trzeba jednak budować takie fabryki, bo tylko dzięki nim można będzie przekształcać i unowocześniać kraj.

Mam jednak wątpliwość. Czy koszty uprzemysłowienia muszą być tak wysokie? Czy zawsze wybierano dla skierniewickiej fabryki, która naprawdę stoi we wsi Miedniewice, najlepsze rozwiązania?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

STANISŁAW CZERNIK

Czarna śmierć

„OD POWIETRZA, GŁODU, OGNI I WOJNY WYBAW NAS, PANIE” — brzmiała staropolska modlitwa błagalna.

Od „powietrza”? Tak nazywano straszliwą klęskę dżumy, inaczej moru, zarazy morowej, czarnej śmierci.

Cóż to jest dżuma? Według nauk lekarskich jest to ostra i bardzo zaraźliwa choroba zakaźna o dużej śmiertelności. Przenoszą ją na człowieka różne zwierzęta, zwłaszcza szczeni, najczęściej za pośrednictwem psów. Człowiek zaraża się również od człowieka przez zetknięcie, wydaliny lub pchły.

Choroba zjawia się nagle. Od razu powstają dreszcze, gorączka, bóle głowy i wymioty. Tak zwane węzły chłonne ulegają zacerwienieniu, obrzmiewają i zrastają się ze skórą, osiągając duże rozmiary, powstają ropnie i karbunkuly. Śmierć przychodzi w ciągu kilku dni, zdarzają się jednak wyzdrowienia. Dżuma zjawia się także w innych cięższych postaciach, które z reguły kończą się śmiercią.

Dżuma występuje na Dalekim Wschodzie, głównie w Mongolii i Chinach. Najgroźniejszym jej roznosicielem jest szczeni. Do Europy dostawała się dżuma na okrętach przybywających ze Wschodu.

Tą drogą zawitała również w roku 1348. Rok ten rozpoczyna długotrwały okres ciągłe powtarzających się epidemii. Z portów włoskich, francuskich, angielskich rozniosła się zaraza na całą Europę. Kośba śmierci była straszliwa, ludzie padali tysiącami w miastach i wsiach.

Rok 1348 zmiotł prawie połowę ludności w Polsce. Ledwie zaczęły się zapelniać szczyby, po dwunastu latach nowa fala morowego powietrza przeszła przez kraj w 1360 roku.

Posłuchajmy przejmującej opowieści Długosza:

„Zaraza gorączkowa, czy to od Boga za liczne grzechy i przestępstwa na ludzi zesłana, czy gwiazd niebieskich biegiem, położeniem, spotkaniem lub inną jaką przyczyną tajemnie spowodowana, wszystkie niemal na zachodzie królestwa nawiedzisz, rozgościła się nareszcie w Polsce, Węgrzech, Czechach, tudzież podległych im i sąsiedzkich ziemiach, i wszystkie miasta, miasteczka i wsie Królestwa Polskiego takiej nabawiła klęski, że trwając ciągle przez sześć miesięcy, większą część ludności wszelakiego stanu i płci obojętą wytepiła. W samym mieście Krakowie dwadzieścia tysięcy ludzi na tę zarazę wymarło. Niektóre zaś miasteczka, wsie i włości tak srodze tą plagą były dotknięte, że pozostawiały się prawie w pustynie. Nie było komu nawet grzebać umarłych. Była to klęska bezprzykładna; gdy bowiem większa część ludności wyginęła, miasta i wsie z mieszkańców ogolone stanęły wszędą pustkami. Zaczęła się zaś ta zaraza około św. Michała objawiając się przez gwałtowne gorączki, bolaki, urzody, dymienice, które wielką zrzędziły śmiertelność; a potem z pewnymi przerwami, nie bez wzmagania się jednak grasując między ludźmi aż do połowy następnego roku, z taką nareszcie w ciągu trzech miesięcy wybuchnęła srogością, że w wielu miejscach ledwo połowa ludzi została przy życiu. Tym zaś różniła się ta klęska od poprzedniej, która przed laty dwunastu kraj nasz nawiedziła, że tamta wiele sprzątnęła ludzi z pospolitego gminu, od tej zaś więcej szlachty i ludzi możnych, dzieci i kobiet wyginęło”.

Zaraza grasowała raz z większą, raz z mniejszą siłą. Zawsze jednak spustoszenia były ogromne. Nawet gdy straty w ludziach okazały się umiarkowane, klęska stawała się dotkliwa. Zaraza paraliżowała życie gospodarze, szczególnie w miastach, ale i gospodarka wiejska cierpiała poważnie. Pustoszały drogi, następowała przerwa w komunikacji i wymianie towarów.

Jak często spadał mór? W ciągu czterech wieków gwałtownego srożenia się dżumy pomór grasował przeciętnie każdego czwartego roku, w sumie więc było sto lat epidemii.

Zachowało się sporo różnych świadectw o „czarnej śmierci”.

Nazwa ta pochodzi od czarnych lub sinopurpurowych plam występujących na ciele chorego. Najczęściej widocznym objawem były guzy kształtem i wielkością przypominające jajka, zwykle pod pachami, ale nieraz rozrzucone po całym ciele. Bywały różne owrzodzenia i krosty, zwane u nas „morówkami”. Przerażająco działało na chorego

i otoczenie, nagle zjawienie się choroby i jej niezwykle szybki rozwój.

Mór rozstrajał życie gospodarcze, społeczne, rodzinne. Ludzie porzucali pracę, zwłaszcza tam gdzie zajęcia odbywały się w gromadach. Z miast uciekano do lasów i w okolice bezludne. Uciekali nawet królowie z zamków lub grodów, na przykład królowa Bona, która przez wiele miesięcy przebywała w Wielowsi pod Tarnobrzegiem, czekając na przejście zarazy.

W miastach próbowano zapobiegać rozszerzaniu się moru. Czyszczono ulice, zalecano różne lekarstwa, oznaczano domy zadżumione, wyznaczano miejsca na grzebanie umarłych. Czasami zamykano bramy, nie wpuszczając do miasta nikogo. Ale zaraza przedostawała się przez mury i kamienne ściany.

Początkowo utrzymywano jakiś taki porządek. Mór trwał nieraz kilka tygodni czasem kilka miesięcy, co doprowadzało do pełnego rozstroju i chaosu w miastach.

Urządzano procesje i modły błagalne w kościołach, na placach, na ulicach. Krzyże i figury przydrożne stały oświecone dniami i nocą. Gromadne modły przyczyniały się do wzrostu zarazy.

Zarzucono więc procesje i modlitwy. Ludzie unikali się wzajemnie. Zamykano gospody, w ogóle ludzie zamykali się w domach, nie wpuszczając nikogo, nie wychodząc na zewnątrz. Zdarzało się, że wymierali całe w ten sposób osobno osobno rodziny. Bywało też, że na widok dotkniętego zarazą, uciekano w panicznym strachu, zostawiając chorego bez opieki, nawet gdy to był najbliższy krewny, małżonek, rodzic lub dziecko.

Umarłych grzebali specjali grabarze. Ale mór podcinał też oczywicie i grabarzy. Bywało, że w mieszkaniach i na ulicach leżały nieopogrzebane, rozkładające się trupy.

Taki stan rzeczy, trwający nieraz tygodniami, doprowadzał ludzi do rozpaczki, obłędu, szaleństwa i zbrodni. Jakiekolwiek prawo, jakikolwiek zwyczaj przestały działać. Jedni rzucili się do pijaństwa, szukając zapomnienia w trunkach. Tworzyły się gromady rabuśników, plądrujących opuszczone i nie opuszczone domy. Inni urządzali orgie połączone ze swawolą piciową w kaplicach, wnekach kościołów, pod ołtarzami. Niektórzy biegali po ulicach z żagwiami, nawołując do palenia zadżumionych domów. Nieraz całe miasta obracały się w popiół i perzynę.

Podobny stan rzeczy zjawiał się również we wsiach dotkniętych powietrzem. Palono, rabowano.

Ludzie wpadali w choroby nerwowe. Zdarzały się wypadki masowych szaleństw.

SMUTEK PUSTYNI

Dzień jak daremna, pusta wiedza,
Dzień twardy — bez soczystej trawy,
Bolesny — bez zielonych drzew,
I ostry — bez zapachu ziół.

Została tylko martwa miedza:
Piaszczysta bruzda
Umarłej rzeki wśród pustyni.

A jeśli dzień jest taki pusty,
Nie będzie po człowieku sławy,
Piasek zasypie ślady kół,
Nic nie zostanie
Ani pióreczka zeschłej trawy,
Ani okruszka suchych ziół.

„Zasła plaga sroga na ludzi — mówi zapiska z XVII w. — że połowę miasta pokusy opętały. Mówiono, że to czary ruskie; inni mówili, że to z dopustu bożego. Dziwy broili, wrzeszcząc srodze, aż ich bernardyni zakleli, aby tak nie wołali, i kolo tych ludzi pracowali, uwalniając ich od czarów i pokus”.

Przesąd i zabobny przeróżne pleniły się wszędzie. Jedni drugich posądzały i oskarżały o czary. Zwiększyła się ilość spalonych czarownic.

Rwało się zaufanie do religii. Powstawały modlitwy, w których zarzucano Bogu brak miłosierdzia, ciężką i nieznosną rękę.

Oto modlitwa zadżumionych: „Miłościwa Panno, Przenajświętsza Mario, Matko Miłosierdzia, Królowo nieba i ziemi, módl się za nami grzesznymi. Wieleśmy winni Bogu i Synowi Twemu za grzechy

nasze. Uproś przecie cokolwiek, że Ty sama nas karz miłościwie, jeśli wola Twoja, bo Syna Twego ciężka i nieznosna ręka!”

Działala wyobraźnia, Zwidrywała się „dziewica morowa”, fantastyczne upostaciowanie zarazy.

Mickiewicz w „Konradzie Wallenrodzie” dał taki jej obraz, powołując się na stare podania ludowe:

Nieraz na pustych smętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewczica,
W bieleńcu, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w rękę chustką skrwawioną powiewa.
Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywuszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczymi
Na siola, zamki i bogate miasta.
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Niektórym zwidrywało się, że odbywa się uroczysty pochód wszystkich ofiar zarazy, ludzi i zwierząt. Pochód idzie od wsi do wsi, od miasta do miasta. Na czele jedzie na wozie zaprzężonym w dwa woły postać śmierci — szkielet odkryty czarną płachtą.

Mnóstwo podań i opowieści powstało na tym tle. Jedną z nich zasłyszał Adam Mickiewicz:

„We wsi zjawia się morowa dziewczica i według zwyczaju przeze drzwi lub okno usuwając rękę, i powiewając czerwona chustką, rozsiwała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie, ale głód i inne potrzeby ukrótce zmusiły do zaniebania takowych środków ostrożności, wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachciz, lub dostatecznie opatrzonej w żywność i mocą najdłuższej wytrzymać to dzienne obłożenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich; wziął szablę zygumuntówkę, na której było imię Jezus, imię Maryja, i tak uzbrojony otworzył okno domu. Szlachciz jednym zamachem uciął strzydłu rękę i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nie znano morowego powietrza”.

Mimo grozy, zamętu, spustoszeń i zniszczeń, starano się przeciwdziałać zarazie. Oczywiście, nie można było za jednym zamachem odciać jej ręki, jak w przytoczonym podaniu. Ale można było osłabić przebieg epidemii przez zastosowanie dobrych przepisów sanitarnych. Niestety, wiedza medyczna początkowo była bezradna wobec „czarnej śmierci”. Leczono na oślep. Mnóstwo znachorów zalecało przeróżnego rodzaju środki lekarskie.

Z wielu zachowanych zabiegów i recept kilka przytoczę dla przykładu:

W szesnastym wieku stosowano taki lek zapobiegawczy:

„Wziąć czterdzieści włoskich orzechów, trzydzieści funsów cebuli, co by objął w garść. To każde z osobna stł w miedzianym, potem przyłożyć trochę soli i zmieszać wespolek. Dać tego po ranu każdy dzień jako włoski orzech”.

Inny przepis:

„W domach, w gmachach, komorach często kurzyć żywicią jodłową albo świerkową”.

Jeżeli u kogoś dostrzeżono czarną plamę „morówki”, należało choremu natychmiast upuścić krwi z tej strony gdzie ukazał się znak. A potem temuż zarażonemu dawać różnane wódki albo podróżniczek ziółko.

Za czasów króla Sobieskiego zalecano takie środki: „Dom siarką na każdy dzień kurzyć, także pościel, chusty, szaty, zażywane przewlecząc się rano i na noc, napoje różne tymże dymem siarczanym nakadać, rzecz bardzo dobra; albowiem ten dym zaraźliwe powietrze morowe traci i niszczy. Jako zaś tym dymem zaprawiać trunki: wino, piwo i wódki, wzięwszy flaszkę szrubowaną, zapalwszy siarczaną knotek wpuścić do tej flaszki i trzymać to póki będzie pełna flaszka dymu, i póki się ów knotek palić będzie, dopiero lać w tę flaszkę trunki pomienione, zašrubować i zażywać według potrzeby i pragnienia, takie trunki nie dopuszczają więcej do wnętrza tej zarazy, nawet zachwyconą tę zarazę, trawi, niszczy i nie dopuszcza do choroby. Pomaga znacznie siarka tuczona, z mąką i z winem mocnym zmieszawszy ciało smarować”.

Oczywiście, obok zaleceń bałamutnych były również poważne próby leczenia. Daleko im jednak od stosowanej obecnie surowicy leczniczej, sulfonamidów i streptomycyny.

Klęska moru przynosiła dalsze poważne następstwa. Mało, że ginęło wielu mieszkańców, czasami połowa ludności. Wielomiesięczne trwanie zarazy rujnowało gospodarstwa, w miastach i na wsi. Zaniebdywano uprawę roli. Upadała hodowla. Nieraz zrozpaczeni sami hodowcy zabijali zwierzęta „na ostatnią uczę”, toteż zawsze po przejściu czarnej śmierci następował głód, dziesiątkujący tych, którzy uchronili się przed dżumą.

VIOLETTA KRAWCZYK

POETA AUTENTYCZNY

3 grudnia 1972 r. mija trzeci rocznica śmierci Stanisława Czernika. Nietłato kreślił portret pisarza, który jeszcze kilka lat temu był wśród nas — aktywny, pełen temperamentu twórczego do ostatniej niemalże chwili.

Stanisław Czernik — poeta i prozaik, redaktor i wydawca, nauczyciel i zamilowany badacz folkloru, należał do tego typu twórców, których oblicze literackie zmieniały i kształtowały własne koleje życia. Zmienne były zainteresowania Czernika, zmieniały się gatunki literackie, którym się poświęcał zawsze z wielką pasją, lecz istniało coś co spajało i wiązało wszystkie te

przemiany — chłopskie pochodzenie pisarza i uparte trwanie w problematyce ludowej, wiejskiej w jej najrozmaitszych aspektach.

Urodzony w 1899 r. (Zochcin, pow. opatowski), wrażliwy, żądny nauki syn chłopski opuścił dom rodzinny w 1913 r. z zamiarem zdobycia wykształcenia. Studiował w jedynym w województwie Seminarium Nauczycielskim, porzucając je dla Gimnazjum w Olkuszu, które ukończył w 1920 r. W 1921 r. rozpoczyna studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego, uzyskując w 1925 r. tytuł magistra. W międzyczasie godzi obowiązki stu-

dentę z pracą nauczycielską w prowincjonalnych miasteczkach kujawskich, próbując jednocześnie swych sił na niwie poetyckiej (debiut w 1922 r.; tom wierszy „Drabina do gwiazd” nagrodzony w konkursie literackim lwowskiego „Lektora”). Losy nauczyciela gimnazjalnego rzuciły go w różne strony kraju. Wędrowną swą zakończył Czernik w wielkopolskim Ostrzeszowie, gdzie w rok po przybyciu otrzymał (1931 r.) nominację dyrektorską w Gimnazjum Humanistycznym. W Ostrzeszowie osiadł na stałe, założył rodzinę i poświęcił się działalności twórczej, dla której znalazł w tym mieście odpowiednią atmosferę. Wydaje tu swe pierwsze zbiory poetyckie, zajmuje się krytyką literacką, nawiązuje kontakty z innymi twórcami.

Tu wreszcie, w 1935 r. zakłada redakcję słynnej „Okolicy Poetów”, którą wydaje z przerwami do 1939 r., ogłaszając w 42 numerach czasopisma utwory kilkuset poetów o różnych orientacjach, patronując akcjom translatorskim z literatury obcych i skupiając wokół siebie grupę poetów ludowych wyznających czernikowski autentyzm.

Wychodząc z założenia, że lud przechowuje war-

tości narodowe i używając nowoczesnych rozwiązań formalnych — autentycy — z całą świadomością przemycili stare wyobrażenia ludowe, a jednocześnie jako poeci wywodzący się z ludu, podnieśli na wyżyny własne — chłopskie środowisko.

Rok 1939 dla Stanisława Czernika to wraz z zamknięciem „Okolicy Poetów” zakończenie pewnego etapu — „okresu ostrzeszowskiego” i rozpoczęcie nowego, niestety, bolesnego zarzemu. Wybuch wojny, przekroczenie granicy na Czeremoszu, emigracja. Dramat klęski wojska, które mu nie dane było ocalić ojczyznę i zarazem swój osobisty dramat utrwalił pisarz w napisanych później powieściach wspomnieniowych: „Ucieczka za Czeremosz” i „Wichrze” oraz w utworach poetyckich: „W osiemnastym dniu wojny” i w poemacie „Legenda zdradzonego wojska”, jednym z najpiękniejszych wierszy literatury polskiej o tym czasie. Śledem — z dala od kraju spędzili Czernik w Algierze, Rumunii, Italii, i Anglii prowadząc emigracyjne gimnazja dla uchodźców polskich.

W 1947 r. nastąpił powrót do kraju, a w dwa lata później Czernik osiedlił się na stałe w Łodzi, której już nigdy nie opuścił. Powziął tutaj Czernik wiele cennych i interesujących inicjatyw; przyczynił się do powstania Wydawnictwa Łódzkiego, do zorganizowania wielkiego ogólnopolskiego konkursu powieściowego, do wydawania „Biblioteki Poetyckiej”. „Rzeczy Poetyckiej”. „Łodzi Literackiej”. „Kroniki”, a w latach 1955—1959 był prezesem Zarządu Oddziału Łódzkiego ZLP.

Poza funkcjami organizacyjnymi i redakcyjnymi nie nie zakładał intensywnie pracy twórczej, której poświęcił się całkowicie od chwili przybycia do kraju. Zaczęło się od „Siedmiu Noccy”, grubego tomu wierszy wydanego jeszcze w 1948 r., tomu stanowiącego obrachunek doświadczeń, przeżyć i obserwacji poety. Po wojnie poeta doskonalił swój warsztat pisarski i rozwijał talent, wydając wciąż nowe tomy świadczące o nieustannym rozwoju, rozkwicie i dojrzałości twórcy. Powojenny dorobek twórcy jest ogromny: obok poezji pisarz uprawia dramaty, powieści wspomnieniową i

historyczną, opowiadanie, portret, esej, zajmuje się edytorskim i badaniem naukowym. W 1963 r. otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za powieść „Autentycyzm pt. „Reka”. W 1961 r. ukazuje się jego „Po zja chłopów polskich” — pionierska praca nad pieśnią ludową, później przychodzi następne studia z zakresu folklorystyki. Zamilowana ludoznawca Czernika otrzymała swój chybła najciekawszy wyraz w jego ostatniej pracy folklorystycznej „Trzy zorze dziewięć (1968 r.), będącej zbiorem mów z zakresu magii ludowej. Ostatnie lata życia pisarza okres przemysliwań o ja, pełniejszym podsumowaniem jego jakże ogromnych świadczeń życiowych i tych. Zaczęła się szkicować esejach: „Sny i Widzenia”, „Przed ciszą”, których dane mu było zobaczyć, a stały, po wydrukowaniu

Do obchodów trzeciej rocznicy śmierci Czernika w Łodzi, w Łódzkiej drukarni, wydano monografię i antologię twórczości pisarza, którego twórczość wymaga jeszcze wielu wnikliwych badań historyków literatury i folklorystów.



Fot. A. Wach

Nasz lot dobiegł końca — oznajmia stewardessa. — Jesteśmy w Kairze.

Szybko załatwiamy formalności celno-pasportowe i objuczeni torbami podróżnymi, przechodzimy przez długą, niesamowicie brudną poczekalnię, aby wyjść przed dworzec lotniczy, gdzie — jak się okazało — nikt na nas... nie czeka! Nie było wśród licznie kręcących się tu Arabów przedstawiciela prywatnego biura turystycznego „Isis”, które podejmuje wszystkie wycieczki turystyczne z Europy. Nie było autokaru. Noc. Do centrum Kairu blisko 40 kilometrów.

Biuro Zagranicznej Turystyki Młodzieży „Juventur” liczyło 80 osób. Kierownik grupy wraz z tłumaczem pobiegł do telefonu. Pracownik „Isis”, zbudzony ze snu, nie nie wiedząc o naszym przylocie, w ciągu pół godziny załatwił hotel. Podjął decyzję, aby nas na koszt... „Juventuru” zawieziono taksówkami z dworca lotniczego do hotelu.

W drodze do hotelu, który okazał się być „Me...”, podziwiliśmy ulicami Kairu z szybkością ponad 80 km na godzinę. Kierowcy popisywali się przed Europejczykami swą brawurą, prześcigali się wzajemnie, trąbiąc niecierpliwie i nie zwracając najmniejszej uwagi na znaki drogowe, ani na sygnalizację świetlną.

Była godzina pół do piątej rano, gdy znaleźliśmy się w hotelu „Khalil”. Arabowie proponują nam — czekającym na przydział pokoi — sprzedaż kolorowych widokówek, gazet pachnących jeszcze świeżą farbą, a mały chłopiec niecierpliwie chciał wycisnąć buty. Wstał dzień, od którego zaczynała się nasza wielka przygoda.

Termometry tego dnia wskazywały w cieniu 38 stopni C. Nawet dla stałych mieszkańców Kairu taki upał w końcu września był zaskoczeniem. Pociliśmy się niemilosiernie, piiliśmy

wodę prosto z kranu, pepsi-colę i piwo „Stella” prosto z lodu, którego nigdzie nie brakowało — nawet na pustyni pod piramidami mały chłopcy nosili w blaszanych wiaderkach orzeźwiający napój w bryłach lodu. W hotelu natomiast nie było urządzeń klimatyzacyjnych, ale mieszkaliśmy w samym centrum starego Kairu. A to miało swój urok.

W centrum starego Kairu mieszkaliśmy jednak tylko jedną dobę. Mielśmy przecież w kosztach wycieczki — 12.800 zł od osoby — skalkulowane pokoje z klimatyzacją i prysznicami. I do takiego nowoczesnego hotelu „El Nil”, położonego nad samym Nilem, szybko nas przetransportowano.

W amerykańskim wprost temple „zależaliśmy” niemal wszystko, co w Kairze zasługuje na uwagę turysty. A więc najpierw meczet sultana Hasana, uważany za najcenniejsze dzieło arabskiej sztuki budowlanej w Egipcie. Pojechaliśmy także 20 km za Kair, aby zobaczyć ruiny stolicy starego Egiptu — Memfis, gdzie demonstruj się turystom — 80-tonowy posąg Sfinks, wykonany z alabastru oraz uszkodzony 30-metrowy posąg Ramzesa II, który znajduje się w specjalnym pawilonie. W drodze powrotnej z Memfis wysiedliśmy z autokaru, aby z dala spojrzeć na piramidę Sakkary, zbudowaną przez faraona Zosera z III dynastii. Nie było jednak wiele czasu na to, aby wejść po schodkach na szczyt piramidy, by już autokary trąbiły i trzeba było wracać do Kairu.

Więcej czasu — bo prawie 3 godziny — dano nam na zwiedzenie muzeum egipskiego, będą-

Wieczorem już w blasku reflektorów i ogłuszającej muzyce — uczestniczyliśmy — tak jak i wszystkie wycieczki, przyjeżdżające do Egiptu — w wielkiej imprezie zwanej „Światło i dźwięk”, słusznie przez wielu uczestników wycieczek określanej jako wielki cyrk, bowiem piramidy trzeba oglądać w ciszy i spokoju, którego tak tu brakowało.

Jeszcze większym cyrkiem były występy w lokalu nocnym „Sahara City”. W bliskim sąsiedztwie piramid rozbito na pustyni olbrzymi cyrkowy namiot, w którym od godz. 21 do 23.30 gra do tańca orkiestra, a od 23.30 do 3 w nocy występują artyści. Głównym programem jest, oczywiście... taniec brzucha w wykonaniu wysokiej, ładnej Arabki w skąpym przyodziewku. Tańce ludów Afryki w rytmie tam-tamów, prezentowali Afrykańczycy, wśród których wyróżniał się jeden, wykonujący taniec pod pionącą balustradą. I to wszystko za 2,5 funta od osoby, co w przeliczeniu na złotówki wynosi 315 zł. Daliśmy się nabrać na tę imprezę, chcąc poznać nocne życie Kairu. Daliśmy się także nabrać na tandetne zdjęcia tancerki, tej od tańca brzucha, która pozowała przy każdym stoliku. Za zdjęcie brano — i to trzeba było płacić z góry — pół funta, tj. 65 zł.

Nazajutrz — nieco zmęczeni atrakcjami z „Sahara City” — pojechaliśmy z przewodnikiem z biura turystycznego „Isis” zamiast do Muzeum Koptojskiego, które było w programie, do... Muzeum Perfum (P). Przyjęto nas gościnnie, poczęstowano herbatą z miętą, pokazano kilkanaście gatunków perfum, naclera-

Francuzi. Umieszczono ich w pokojach bez klimatyzacji — podobnie jak nas na początku w Kairze. A ponieważ już o godz. 6 rano jest tu w cieniu 28 stopni C, a w południe 39 stopni, wycieczka francuska próbuje dojść do porozumienia z Polakami. Chcą płacić pół funta na dobę za odstąpienie naszych pokoiów z klimatyzacją. Nikt się jednak na to nie godzi.

W Luksorze przewodnicy stanęli na wysokości zadania. Gorzej było z tłumaczką łódzkiej grupy, która miała poważne trudności z tłumaczeniem z języka angielskiego na polski wielu objaśnień, jakimś racyli nas przewodnicy w czasie zwiedzania zabytków. Wreszcie grupę łódzką połączono z bydgoską i w sukurs naszej tłumaczce przyszedł tłumacz z Bydgoszczy, który sprostał trudnej sztuce tłumaczenia.

W Luksorze obok wrażeń turystycznych mieliśmy też inne. W jednym z sklepów, w pobliżu hotelu „Savoy”, gdzie przeważnie zatrzymują się wycieczki orbisowskie, ujrzelśmy polski napis:

„Kochany Bolanda, Tu kupisz najkorzystniej, co tylko zapragniesz i u nas nie ma szacher-macher”.

Pomysłowy Arab nauczył się też u Polaków mówić „dzień dobry”, ale prezentował nam złote wyroby tak drogie, że trudno było uwierzyć, iż nie ma u niego „szacher-macher”.

Po wyjściu z klimatyzowanych wagonów w Asuanie znaleźliśmy się w... gorącym pięciu. O godz. 13 było tu 47 stopni w cieniu. Nie dano nam jednak ani chwili wytchnienia. Wszedź do łodzi żaglowych, aby zwieźć do gro-... Agi Khana.

JAK SIĘ MASZ, KOCHANA BOLANDA!

cego najwspanialszym i największym muzeum sztuki i kultury starożytnej na świecie. Na dwóch kondygnacjach zgromadzono około 1000 eksponatów, reprezentujących wszystkie okresy historii Egiptu. Niektóre z nich liczą około 5 tys. lat. Najdłuższą przebyliśmy na I piętrze, gdzie m. in. umieszczono zbiory znalezione w grobie Tutenchamona, z pozłacaną ozdobioną szlachetnymi kamieniami drewnianą trumną, ale bez wewnętrznej złotej trumny, która znajduje się w piwnicach muzeum. Wiele zresztą cennych eksponatów w czasie wybuchu wojny z Izraelem, w celu zabezpieczenia przed zniszczeniem, ukryto w piwnicach, bądź też wywieziono. Na parterze muzeum worki z piaskiem przypominają, że Egipt wciąż znajduje się w stanie wojny.

I wreszcie kulminacyjny punkt. — Spotkanie na przedmieściu Giza z piramidami Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa, które wraz ze Sfinksem zaliczane są do 7 cudów świata starożytności. Nie było ani chwili czasu, aby przybysz z dalekiej Polski mógł po wyjściu z autokaru zdać sobie sprawę, że na tych rozgrzanych płaskach pustyni stoi oko w oko z historią starożytną, że w tym miejscu 4,5 tys. lat temu, ponad 100 tys. ludzi przez 20 lat budowało piramidę Cheopsa. Nie było czasu, bo przewodnik gnał nas od piramidy do piramidy, aby później zaprowadzić do wnętrza piramidy Chefrena, gdzie w wąskich korytarzach było tak nisko, że trzeba było zgiąć się w pół i iść słabo oświetlonymi przejściami. I właściwie... nie się nie widziało.

jąc nimi nasze ręce. Tak nas zachęciano do kupna tego kosztownego towaru. Klientów nie brakowało. Przewodnik zacierał ręce zadowolony, że dostanie wysoką prowizję. My nie mogliśmy jednak odzłotać Muzeum Koptojskiego. Niektórzy wybrali się tam na własny koszt, aby zapoznać się ze zbiorami światowej sztuki koptojskiej z okresu od 300 do 1000 roku. Mogli więc zobaczyć w 10 działach zgromadzone stare ikony, wyroby z kości słoniowej, rzeźby w drewnie, a także znaleźiska z Pustyni Libijskiej — naczynia i wyroby szklane, manuskrypty i tekstyla, stare dzieła koptojskie i arabskie. Oglądaliśmy ruiny starych fortyfikacji rzymskich Inni, też na własną rękę, pojechaliśmy taksówką za Kair, aby móc dotrzeć do środka najwspanialszej i najciekawszej piramidy Cheopsa.

W Luksorze, podług pospiesznych pokonuje w 10 godzin. Do Luksoru przyjechaliśmy o godz. 6 wieczorem, kiedy było już całkowicie ciemno. Oczekiwały na nas dorożki, barwnie udekorowane, z dzwoneczkami. Kawalkada dorożek wzbudzała zrozumiałą sensację na ulicy, wiódłacej z dworca do pobliskiego hotelu „Luksor”. Towarzyszył nam tłum dzieci. Biegły za dorożkami, wołając po polsku: „Dzień dobry, Bolanda”, „Jak się masz”.

Luksor po Kairze miał stać się dla nas w ciągu kolejnych dwóch dni wycieczki prawdziwym relaksem, połączonym ze zwiedzeniem najcenniejszych zabytków starożytnego Egiptu. Wraz z nami przebywają w hotelu „Luksor”

Nazajutrz, skoro świt, pojechaliśmy do Wielkiej Tamy Asuańskiej. Po drodze widzieliśmy urządzenia radarowe i lufy dział armatnich. Zdjęć nie wolno robić, tereny wojskowe. Nie wszystkie też wycieczki zagraniczne wozł się do Tamy.

Z Asuanu pojechaliśmy nad Morze Śródziemne do Aleksandrii, skąd po dwóch dniach — do Kairu. Ostatni dzień pobytu w Egipcie wielu z nas wykorzystało na zakupy, głównie na bazarze Muskiego, gdzie mieści się cała dzielnica złotników. U Polaków najlepszą marką cieszą się firmy Corasiniego i Turkuasa. Tu znają język polski i nie robią „szacher-macher”. Tu ustawiają się długie kolejki naszych rodaków, a ci, którzy nie mają funtów, prowadzą z właścicielami sklepów handel wymienny. Sprzedają im kryształy, żelazka, suszarki, kremy „Nivea”. Okazuje się, że Polacy doskonale potrafia handlować z Arabami. W naszym im nie ustępują pod względem pomysłowości kupieckiej.

W samolocie do Warszawy zastanawiałem się, czy bardzo dalem nabrać się „Juventurowi”, „Isis” i Arabom? Nie było najlepiej, ale mogło być jeszcze gorzej. I tak, z myślą, że ciągle aktualne jest porzekadło, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej — wylądowaliśmy w Warszawie.

JERZY KRASKOWSKI

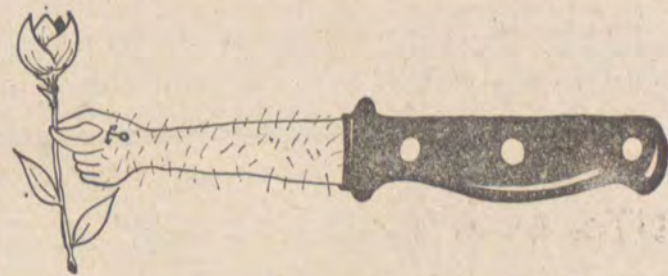


Z ZIMNĄ KRWIĄ

skusja była tak gorąca, że znów ucierpiał tapir obu dam. Dopiero interwencja gospodarza, który po prostu wyrzucił Teodozję z córka za drzwi, położyła kres tej oryginalnej formie obchodzenia damskiego święta.

Po powrocie do domu córka opisała szczegółowo ojcowi sceny, jakie rozegrały się u ciotki, a całość zakończyła: „Ale była Bonanza!” Coś musiało zagrać w duszy starem, może jakaś pradawna żądza mordu, lub jeszcze coś gorszego. Nie, musiał to być jednak czelek nerwowy, wziął na wstrzymanie, noc przespał spokojnie, rano zaś poszedł do pracy, a po fajerwancie wypił dwie setki w barze, a później pół litra z kolegą w domu. Tyle, że nie był to własny dom, lecz o pustoszyla, taki przeczony do rozbiórki. Ale i te domy, jak powszechnie wiadomo, są często wykorzystywane dla doraźnych potrzeb przez element.

Pokrzepiwszy się co nieco szlachetny ojciec i mąż kobiet, które wczoraj spotkał afrent w domu szwagra, udał się do niego z nożem w kieszeni w sobie tylko wiadomym celu. Niestety, szwagier jeszcze nie wrócił z pracy, mężczyzna usiadł więc w pokoju przed telewizorem i zaczął oglądać program, pn. „Umarły zbie-



Rys. K. Gruber

ra oklaski”. Ażby jednak jakoś bardziej uzasadnić swą przypadkową wizytę, poprosił o 100-złotową pożyczkę. Został w tej materii załatwiony odmownie. W końcu doczekał się gospodarza domu. Mężczyźni przywitali się, jak na szwagrow przystało, przez podanie ręki, a gdy właściciel mieszkania odwrócił się w stronę kredensu, chcąc wyjąć stamtąd nakrycia do kolacji, usłyszał za sobą głos żony: „O Jezu, on cię zabije!” i padł na podłogę. Otrzymał cios nożem w głowę i na moment stracił przytomność. Gdy się ociekł, zauważył, że szwagier syczy się do zadania mu śmiertelnego ciosu prosto w serce. Chwycił go za przegub dłoni, a do żony zawołał: „Ratuj! Weź pałkę i wal łobuza!” Żona posłuszna mężo-

wi wzięła pałkę i zaczęła walić łobuza, ale ponieważ nie na wiele się zdało, wybiegła na korytarz i zaczęła wzywać pomocy. Kandydat na mordercę sportrzęsłszy, że kobieta na chwilę wyszła z pokoju, chłodno oznajmił szwagrowi: „Teraz cię zabiję, bo nikogo nie ma”. Napadnięty bronił się resztkami siły, wreszcie niedoszły morderca wystraszył się krzyku, zostawił swą niedoszłą ofiarę w spokoju i zbiegł po schodach na ulicę. Tam trafił w objęcia milicji.

Najstraszniejszy jest w tym wszystkim naprawdę brak istotnych motywów, no i skrupułów, niska cena cudzego życia, łatwość decyzji oraz całkowita obojętność, z jaką ten człowiek szykował się do morderstwa. Brrr!

KAROL BADZIAK

resie renesansu autokaru rodziny, jaki obecnie zapoczątkowaliśmy w naszym kraju, ta rodzinka, o której chcę pisać, nie ma zbyt dużych szans na upowszechnienie. Przypomina ona raczej wścieklą rodzinę Zastawów, niż zacnych Matysławów. Dość powiedzieć, w gnie szwagra dziabnożem. Sąd wymierzył mu za to karę 12 lat więzienia wolności. I po sześciu tygodniach, kiedy on tam był, „kalendarze”, my realizujemy program modernizacji miasteczka na gotowe.

Wszystko zaczęło się jak bajka dla grzecznych panienek. Były, żyły sobie trzy siostry i wszystkim trzęść ułożyło się szczęśliwie wyjść za mąż. Dwie pozostały w Łodzi, jedna wyje-

chała do Anglii. Przesyłała stamtąd paczki, a w paczkach sweterki, kawę i herbatę, oczywiście angielską. Dopóki żyła matka, zawartość paczek sprawiedliwie dzieliła na dwie równe części i córki były szczęśliwe, zadowolone, z dziobków sobie jady, czasem piły.

Przed dwoma laty matka nieoczekiwanie zmarła. Córki doszły zgodnie do wniosku, że nie było to z jej strony przyzwolenie i zaraz na stypie chwyciły się za tapir, sekundowali im mężnie mężowie. Poszło, rzecz jasna, o podział dóbr, napływających z Albionu. Chciwość doprowadziła do awantury na dwadzieścia cztery fajerki. Można śmiało powiedzieć, że po pogrzebie stosunki rodzinne ochłodyły. Paczki, co prawda, nadal dzielono wspólnie, lecz obie strony czuły się pokrzywdzone i oszu-

kane. Interes wspólny górował jednak nad animozjami i siostry nadal składały sobie od czasu do czasu wizyty, nawet natury towarzyskiej. Podczas jednej z takich wizyt w ciasnym kółku rodzinnym doszło między paniami do sprzeczki, powiedzmy na tle sposobu wychowania dzieci. Siostra Florentyna poinformowała wtedy córkę siostry Teodozji, że ta uprawia najstarszy zawód na świecie. Córka Teodozji spytała ciotkę, po czym to poznaje, bo przecież jej córka jest taka sama. Zresztą nieważne są drobniactwa, można ogólnie powiedzieć, że padło tam wówczas wiele słów na literę „k”.

Specjalnej pikanterii tej niewymuszonej konwersacji dodaje fakt, że działo się to akurat w dniu Święta Kobiet, czyli 8 marca br. Dy-



Zdjęcie wykonane w 1920 roku: Włodzimierz Lenin rozmawia z angielskim pisarzem Herbertem Wellssem. Trwa jeszcze wojna domowa i interwencja, w młodej Republice Radzieckiej panuje rozprężenie i głód. Lenin opowiada Wellsowi o planach elektryfikacji Rosji. Ale pisarz, zadziwiający świat swoją wręcz nieopohamowaną fantazją, nie mógł uwierzyć w realność tego planu, nie wierzył bowiem w siłę robotników i chłopów, którzy stanęli u steru władzy, w siłę nowego ustroju społecznego. Wells napisał książkę o swoim pobycie w młodej Republice Rad pod wymownym tytułem „Rosja we mgle”. Ale to, czego nie mógł sobie wyobrazić pisarz fantasta, widział wyraźnie wódz Rewolucji — widział największe w świecie hydroelektrownie, widział kraj zalany światłem elektrycznym już wtedy, gdy trudno było nawet o naftę do lamp...

Od Pacyfiku po Karpaty, od skalistego Kaukazu po Ocean Lodowaty ciągnie się kraj 130 narodów, 13 republik... Ten szmat ziemi zamieszkały przez blisko czterech miliardów mieszkańców jedną ma nazwę, lecz ktoś zliczy, ile ma twarzy? Bezkrzesne stepy naddnieprza i nadwołża, wieczna zmarzłina polarnego, koła, wulkany i wrzące gejzery kamczackie, nieprzebyte tajgi, pustynie palone słotem i tundry osmagane wiatrami, zacinane winnice Gruzji i podmoskiewskie białe brzozywe zagajniki... I ludzie, wszędzie ludzie, idący jedną co

prawdą drogą, do jednego celu wiodącą, się przecież w każdej z tych krain różni, inni, z innym balastem kultury i tradycji, z innym temperamentem tańczący swe tańce, w innym rytmie, w różnych językach, różnymi wersetami śpiewający pieśni o zyciu, walce i miłości... Portret tej ziemi i ludzi na niej żyjących mogli nakreślić tylko artyści, bowiem słowa nie wyraża tego, co może powiedzieć obraz.

Wystawa fotografii „ZSRR — kraj i ludzie” jest właśnie takim portretem. I, jak przypuszczam, jest to jedyna forma

relacji, która może swobodnie przekraczać granice i bariery językowe i kulturowe, nie tracąc nic ze swych treści. Skompletowana ona została staraniem Agencji Prasowej NOWOSTI z 250-tysięcznego zbioru fotografii 620 radzieckich fotografików, reportażystów zawodowych i amatorów i obejmuje wszystkie dziedziny ludzkiej działalności — od polityki po produkcję przemysłową, od nauki i lotów kosmicznych po życie codzienne, zwykłe, zwykłych ludzi. Rzadko udają się takie zamysły. Z reguły ich wynikiem są okolicznościowe laury, które można tylko o stworzyć z pompą i po cichu zamknąć. Ta jednak wystawa jest inna. Układa się ona w prawdziwą symfonię fotograficzną, w której każde zdjęcie jest dźwiękiem współbrzmującym z innymi, współtworzącym ogólną harmonię, z której wyłania się portret kraju, portret ułożony precyzyjnie z drobnych fragmentów życia, jak biżantyjska mozaika.

Wystawa „ZSRR — kraj i ludzie”, którą gościmy obecnie w Łodzi, zorganizowana została z okazji 50-lecia Państwa Radzieckiego. Jest już chyba TRZYDZIESTA z kolei wystawa wysłana w świat. Podobne ekspozycje gościły w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, Japonii, Indonezji, Włoszech, w Laosie w krajach demokracji ludowej. Wszędzie budziły zainteresowanie, przyjmowane były ze zrozumiałą ciekawością nie tylko z racji swej tematyki, ale również i dlatego, że do tej pory o fotografi radzieckiej niewiele wiedziano i słyszano. Znamienna jest więc recenzja agencji UPI

z okazji wystawy w Stanach Zjednoczonych: „O Związku Radzieckim nie mówilo się zazwyczaj jako o kraju wielkiej fotografii. Lecz być może, opinia ta zmieni się całkowicie, gdy wystawa zakończy swą 7-miesięczną podróż po USA”.

I tu warto przypomnieć mało znane fakty, iż fotografia rosyjska i radziecka ma swoją bogatą i długą historię. Pierwsze atelier fotograficzne w Rosji otwarto w Petersburgu w niecałe dziesięć miesięcy po ogłoszeniu oficjalnej informacji o wynalazku Louisa Daguerre'a. Już w 1867 roku w moskiewskim Maneżu otwarto Ogólnorosyjską Wystawę, na której wiodącymi eksponatami były dagerotypy. Wystawy takie odbywały się systematycznie w Petersburgu, Kazaniu, Niżnim Nowogrodzie, Odessie i innych miastach gubernialnych. Brali w nich udział znakomici fotograficy — Aleksiej Griekow, Andriej Danier, Lawr Plachow, Siergiej Lewicki, Andriej Karielin, Nikołaj Pietrow. Wiele z nich studiowało w Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, porzucając z czasem pędzle i dłuta na rzecz aparatu fotograficznego. Pozostawili oni bogatą i bezcenną dokumentację przedrewolucyjnej Rosji, penetrowali bowiem niemal wszystkie środowiska, a nierzadko wyruszyli też w podróże artystyczne po kraju z nieodłącznym aparatem w ręku. Bogata jest również dokumentacja fotograficzna z czasów Rewolucji, wojny domowej i pierwszych lat młodej Republiki. Te zwłaszcza archiwa twórcy tradycji, która jest dla współczesnych reportażystów radzieckich lekcją zaangażowania i ofiarności, wielu bowiem fotografów poległo w czasie Rewolucji i wojny domo-

FOTOGRAFIA

wej, pełniąc swe obowiązki kromikarzy.

Warto tu przypomnieć słowa Maksyma Gorkiego z jego rozważań o kunszcie tworzenia: „Z polana brzozywego można wykonać toporzyko — i można wyrzeźbić piękną figurę człowieka”. Nie tylko temat decyduje o wartościach prezentowanej nam ekspozycji. Byłby to przypadkowy zbieg okoliczności, gdyby ich twórcy nie byli artystami obiektywami, gdyby robili tylko dokumentację, a nie zdjęcia o wysokim poziomie artystycznym. Są na wystawie zdjęcia — legendy, zdjęcia — symbole — te z lat pierwszych Rewolucji. Zdjęcia wstrząsające do głębi, jak chociażby te z czasów Wielkiej Wojny, niektóre nawijające do kompozycji malarskich z czasów Wielkiego Realizmu XIX-wiecznego. Na drugim biegunie są fotografie, które są peanem na cześć geniuszu ludzkiego i cywilizacji, barwne plansze z kosmodromów, hut, laboratoriów, niczym kadry z fantastycznego filmu. Pomiędzy nimi, jak w nawiasie, mieszczą się obrazy z życia zwykłego, zwykłych ludzi. Pejzaże pełne poezji i nostalgii, jak płótna Lewitana, albo urzekające majestatycznym pięknem rozszalałego żywiołu jak płótna Ajawozowskiego. Twarze dziewcząt; zbrzydzone, niczym skorupa wyschłej ziemi, oblicza starców. Barwne stroje narodowe i regionalne, taniec, sztuka, sport, odpoczynek, praca. Zwyczajne życie zwykłych ludzi...

Wystawa nie preferuje żadnych stylów, żadnych orientacji artystycznych. Indywidualność



artystyczna poszczególnych twórców, czasami bardzo różna od siebie, jest tym właśnie, co zabarwia fragmenty owej ogromnej mozaiki, udratyzowuje ją, ożywia. Organizatorzy sami przyznają się, iż kierowali się tu słowami Woltera: „Wszystkie rodzaje są dobre — prócz nudnego”. I rzeczywiście ta wystawa nie może nudzić. Może tylko zafascynować.

Niepoślednią rolę w percepcji wystawy odegrała forma ekspozycji w salach wystawowych Łódzkiego „Textilimpexu”, której autorem jest architekt wnętrz Jerzy Frątczak. Zapropjektowana przez niego architektura wystawy pozwala na spokojne obejrzenie poszczególnych fotografii. Nie atakują one swoją masą, nie przynajmniej widza ilością ekspozowanych plansz, wielością obrazów. Oglądamy wystawę, jakbyśmy słuchali wielkiej orkiestry prowadzonej sprawną i pewną ręką dyrygenta.

ANDRZEJ GRUN

FILM

Czy rzeczywiście dla dorosłych?

Przed kilku tygodniami Stanisław Różewicz swym filmem „Szkłana kula” przekonywał jak trudno zrobić dobry film o młodości, obecnie Janusz Nasfeter w filmie „TEN OKRUTNY, NIKCZEMNY CHLOPAK” dowodzi tego samego w odniesieniu do dzieci. Jeśli w ogóle można porównywać tu stopnie trudności podjętych tematów przynajmniej trzeba, iż Nasfeter wkrocza w krąg największych tajemnic, jakie stoją przed światem dorosłych. Upór, z jakim reżyser ten próbuje przeniknąć nieznane zasługuje na szacunek, gdyż najczęściej już

pierwsze porażki odstraszały śmiałków. Jeśli przypomnieć tylko „Kolorowe pończochy”, „Abla, twego brata” a obecnie „Tego okrutnego, nikczemnego chłopaka”, bo przyznać należy, że Janusz Nasfeter okazuje się człowiekiem odważnym, konsekwentnie tropiącym ślady ciągle jeszcze umykające uwadze i konsekwentnie realizującym swe artystyczne i wychowawcze postannictwo.

Towarzyszy mu szczególne zamierzenie — swe filmy o dzieciach realizuje z myślą o adresacie dorosłym. To założenie sprawia, że potyka się cza-

sami, ba, ponosi porażki częściej niż by na to jako autor zasługiwał. Nasfeter — reżyser posiadał przecież umiejętność wcale nie częstą, potrafi, jak nikt u nas, pracować z małymi aktorami. Dzieci w jego filmach nigdy nie są pretensjonalnymi marionetkami, jak to często, dla odmiany, w polskich filmach się zdarza. Potrafi, czego dowodem i jego ostatni film, wydobyc z dzieleceją gry wiele autentyzmu, pełnego przeżycia i ekspresji. Gdyby Nasfeter robił filmy dla dzieci, miałbyśmy w tym gatunku niemamy i ambitny dorobek. Sympatia Nasfetera dla dzieci przybrała jednak w jego twórczości wymiar głębszy, Nasfeter walczy o dzieci, pragnie je bronić przed światem, który jest często wobec nich okrutny. Realizuje więc swe filmy dla dorosłych, przed nimi chce odkryć psychologię dziecka, odsłonić prawdziwe światło, pragnie naprawić świat dorosłych, by pomóc dzieciom. Takie wydają się intencje Janusza Nasfetera. Szacunek, jaki żywię dla jego twórczości wynika z faktu, że przekonuje ona o istnieniu zamierzeń i uporu szlachetnego,

nie idącego na kompromisy, choć Nasfeter wie, że wybrał drogę ciężką, nie wiodącą ni do sukcesów popularności, ni do sukcesów kasowych. Tym bardziej mi przykro, że „Ten okrutny, nikczemny chłopak” nie jest filmem, który można by uznać za moralny sukces tego jednego z nielicznych „sprawiedliwych” w naszej kinematografii.

Potknął się chyba tym razem Nasfeter, autor scenariuszy swoich filmów, właśnie na przygotowanym przez siebie materiale literackim. Nie wyszedł w nim poza stereotyp wiedzy o trudnym świecie dzieci niekochanych. Nie wyszedł poza schematyczne widzenie układu między światem dorosłych i dziećmi. Działanie wychowawcze zaś będzie zawsze skazane na porażkę, jeśli jego atutami prowadzącymi będą schemat i banał, jeśli odbierze mu się atmosferę szczerości, bądź szczególnego napięcia emocjonalnego.

Patrząc na ten film nie mogłem wprost uwierzyć, że właśnie Nasfeter pozwolił sobie na tak banalne stereotypy w

rysunku postaci dorosłych jak owa matka — mieszczkańska idiotka, sędzina — służbistka, adwokat — karykatura swej profesji, czy druga matka — stworzenie bez serca. Że Nasfeter wpadł na tak okropny pomysł, jak osadzenie filmu w ramie procesu sądowego, prowadzonego bez jakiegokolwiek dozy napięcia, co gorsza — rozbijającego atmosferę wielu dobrych scen, niezbyt udolnie zresztą wprowadzanych retrospekcji. Obronną ręką, jak zwykle u tego reżysera, wyszły dzieci — prawdziwe w swym smutku, w swej bucie, w swym cwaniactwie, ale to za mało, jak na film, który ma wstrząsnąć sumieniami dorosłych. Prezentacja prawd oczywistych przy pomocy grubych kresek, podkreślających sytuacje i charaktery oczywiste, nie jest w stanie wywołać reakcji, o którą reżyserowi chodziło. Typowość przemawia wtedy, gdy ujawnia się ją w sytuacji niekoniecznie typowej, jeśli próbuje się szukać jej źródeł i znajduje dla niej motywację, jeśli nie wszystko będzie tak jednoznaczne, tak w wydaniu dobra jak i zła.

Janusz Nasfeter — literat, popełnił błąd. Nie docenił obiektu swych wychowawczych oddziaływań, czyli świata dorosłych. Nasfeter — reżyser wypadł w tej współpracy lepiej — zdołał zbudować kilka scen przejmujących, jak choćby całą otwierającą i zamykającą scenę na bagnach, jak kilka rozgrywających się w samym świecie dzieci, bez udziału dorosłych. W ostatecznej ocenie dzieła liczy się efekt, nie intencje. W wypadku „Tego okrutnego, nikczemnego chłopaka” wiara w skuteczność założonych intencji została niestety zachwiana niedoskonałością dowodów i argumentów. Na dalsze filmy Janusza Nasfetera, zgłębiające w sposób wnikliwy, a także surowszy trudne sprawy dzieci i dorosłych, czekamy jednak nadal.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR

Rapsodia rozpaczy

Wiek dwudziesty przyniósł bolesny eksperyment: oto na przeciąg sześciu lat wojny zaniegowane zostały w skali totalnej wszystkie wartości humanistyczne stworzone przez ludzką w długim porządku dziejów. Darwinowska teoria o walce gatunków, zastosowana do człowieka cywilizowanego i wychowanego w szczytnych ideałach kultury łacińskiej, przyniosła zagładę milionom istnień i posiała zwątpienie.

Józef Zbiróg, realizując w Teatrze Nowym sceniczną adaptację „Poematu otwartego” Tadeusza Różewicza, posłużył się parabolą cyrku, która, jak głosi egzegeza Romualda Błaszczyka i Ewy Jaroszewicz, komentujących spektakl we wkladce do programu, ma na celu ukazanie „człowieka ekwilibrysty osaczonego we współczesnym świecie, wtłoczonego

w przeróżne układy społeczne, rodzinne, w końcu wplątane w własną psychofizyczną, który usiłuje realizować rozbieżne, a nawet sprzeczne cele, wynikające z jego tak wielowartościowej i wielopłaszczyznowej obecności na świecie”.

Trudno odłączyć sceniczną realizację wierszy Różewicza od ich lingwistycznego wyrazu i kształtu, od ich posępnej metaforyki. Poezja ta jest literaturą zwątpienia i rozpacz, co znalazło swoje najdosadniejsze odbicie, w wyznaniu, jakie uczynił poeta oglaszając „Niepokój”:

„Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź”

Ale wtedy, w roku 1947, szuka jeszcze „nauczyciela i mistrza”, który przywróci mu „wzrok, słuch i mowę”, a tak-

że nazwie od początku „ręczy i pojęcia”. Jeśli nie liczyć krótkiego okresu socrealistycznej fascynacji, proces zwątpienia u Różewicza się jeszcze pogłębił. Doświadczenie wojenne, które inni potrafili przełamać, popadając choćby w tani optymizm, zadziało na poetę jak choroba popromienna. Czas u niego ran nie goi, rozjrzta je jeszcze, zagęszcza lęki, każe wątpić we wszystko, nawet w poezję, której śmierć nie tak dawno ogłosił w nekrologowym wierszu.

Tom „Poemat otwarty”, który powstał w latach 1955—1957, jest niemal klasycznym przykładem tej postawy, gdyż do zwątpień dawnych, wojennych, dołączyły się nowe, polityczne (nie zapominajmy, że w r. 1952 Różewicz napisał wiersz pt. „Spókanie w Nowej Hucie”). Bohater liryczny „Poematu” obnażając kolejne swoje wnętrza, ukazuje nam ostateczną pustkę.

Przed Józefem Zbirógiem, który podjął się scenicznego adaptacji różewiczowskiego „Poematu otwartego”, stało niełatwe zadanie: czy ukazać różewiczowski totalny desperacjonizm, zwątpienie wspanocznijące, czy też ukierunkować je, wybrać dla

tej rozpacz konkretnego adresata? Kierując się niewątpliwym zmysłem dramatycznym Zbiróg wybrał to drugie rozwiązanie. Chciał bowiem, aby jego spektakl był nie tylko montażem recytowanych wierszy, deklamacją; zapragnął, aby wiersze te stały się teatrem.

Zawężając zakres znaczeniowy poezji Różewicza, adaptator tekstu i realizator przedstawienia w jednej osobie, nadał jej wyraźne antymieszkańskie ostrze. Próbnik moralną tamtego świata nasycił atmosferą obcości, pospolitych dramatów, obojętności. Z tego potoku szaryzmy zbudował, wykorzystując prawa sceny, potoczystą akcję, przykuwającą niekiedy uwagę, zaskakującą dramatycznymi pomysłami. Poddany takiej interpretacji Różewicz okazuje się poetą kilku przynajmniej warstw, które choć z sobą współbrzmiały, to przecież dają się jednak wyobrzeć. I stała się rzecz paradoksalna: Różewicz oskałpowany, zubożony, zostaje jednocześnie wzbogacony o nowe treści, które ukazać może tylko teatr.

Można się oczywiście spierać, czy motyw cyrku stanowiący leitmotiv i ramę całego

spektaku, jest właściwszym dla charakteru różewiczowskiej poezji. Osobiście wolalabym, aby akcja tego przedstawienia toczyła się w świecie mniej barwnym: może w składnicy złomu, może w punkcie skupu makulatury. Ale rozumiem intencje reżysera, który buduje przed widzem iluzję, aby je za moment bezpowrotnie zburzyć. Intencje te zrozumiała także zapewne Liliana Jankowska, której pomysła scenografia przyczyniła się walenie do potoczności akcji, do nadania całemu spektaklowi dojrzałego artystycznego kształtu. Mniej konsekwentny okazał się kompozytor Piotr Marczewski, którego muzyka nie ma tak jednoznaczny wyrazu i nie stanowi dla spektaklu dostatecznego kontrapunktu; w każdym razie nie przeszkadza, a przecież i tyle się liczy.

Spektakl ten dźwiga Jan Zdrojewski w roli Meżczyzny, któremu sekunduje doskonała Barbara Wałkówna w roli Kobiet. To właśnie dzięki nim wiersze Różewicza zabrzmiały tak plastycznie i przejmująco, choć niekiedy zbyt ekspresjonistycznie. Za sukcesem można też poczytywać kreację Hanny Bedryńskiej w roli Obcej, która stanowi alter ego głównych

bohaterów przedstawienia. Niewątpliwie dobrze został obsadzony Ryszard Dembiński w roli Obcego. Przekonywająco też wypadł Jan Kasprzykowski w trudnej, podwójnej roli Jasia i Jana. Szkoda, że nie znalazł równie sobie partnerki w osobie Aleksandry Krasoń, która grając Dziewczynę wypadła, w moim odczuciu, zbyt koturnowo. Mniej też podobał mi się Dobrosław Mater w bardzo trudnej roli Dziadka, gdzie miał dobre tylko momenty. Zbigniew Nawrocki (Akrobata I) Eugeniusz Korczowski (Akrobata II) oraz Elżbieta Jasińska (Akrobata) stanowili tylko tło dla innych postaci dramatu, ale ich obecność na scenie przyczyniła się niewątpliwie do utrzymania spektaklu w jednolitym, nieskażonym tonie.

Zrealizowany przez Józefa Zbiróg na Małej Scenie „Poemat otwarty” Różewicza, jako propozycja „Studia Współczesnego” świadczy o ambientnych poszukiwaniach Teatru Nowego, które powinny być kontynuowane. Realizację Zbiróga traktuję jako istotne wydarzenie artystyczne w naszym mieście.

KONRAD FREDLICH

Dziecko poznaje świat

Urodzić dziecko, dać mu jeść, ubrać je, pójść z nim na spacer, oczywiście kochać — to jeszcze nie wszystko. Trzeba je umieć wychować, wykształcić w nim właściwe cechy umysłu i charakteru, ukształtować do życia w społeczności. Bardzo to ważne zadanie i wcale nie łatwe. Czy wystarczy do tego instynkt macierzyński i głęboka miłość do dziecka? Długie lata szukano odpowiedzi na pytanie: jaki okres w życiu dziecka decyduje o rozwoju jego intelektu? Dopiero dziś, po wielu żmudnych obserwacjach i badaniach naukowych można już na to pytanie odpowiedzieć: jest to okres między dziesiątym a osiemnastym miesiącem życia.

Właśnie w tym krótkim okresie czasu wpływ czynników zewnętrznych odgrywa największą rolę w formowaniu cech umysłu dziecka. Do takiego wniosku doszli naukowcy z Uniwersytetu w Harvardzie, którzy po kierunkiem prof. White'a badając intelektualny poziom dzieci w wieku przedszkolnym.

Początkowo White i jego zespół nie podejrzewali nawet, iż głównym obiektem ich badań będą dzieci w wieku od 10 do 18 miesięcy. Po prostu zainteresowali ich, dlaczego jednym dzieciom nauka w szkole idzie łatwo, a inne nie nadają. Innymi słowy, co determinuje postępy szkolne, nim jeszcze dziecko pójdzie do pierwszej klasy?

W 1964 roku Benjamin Bloom z uniwersytetu w Chicago, w książce traktującej o problemach osobowości człowieka pisał, iż w okresie pierwszych 4 lat życia kształtuje się 50 proc. intelektu człowieka. Do

czwartego roku życia umysł dziecka jest niezwykle podatny na wpływy zewnętrzne. Później cecha ta stopniowo słabnie.

White wybrał dwie grupy dzieci w wieku od 3 do 6 lat. Do pierwszej grupy: „A” — włączono dzieci wyłącznie zdolne, przy czym wzięto pod uwagę nie tylko ich przygotowanie do nauki w pierwszej klasie, lecz także umiejętność współżycia z rówieśnikami. Do drugiej grupy: „C” — weszły dzieci, które w szkole powinny wyraźnie trafić do kategorii „opóźniających się”.

Pod względem poziomu rozwoju motorycznych funkcji, dzieci obu tych grup nie różniły się między sobą. Różnica występowała w poziomach intelektu oraz socjalizacji. Na przykład dzieci grupy „A” wiedziały, jak przyciągnąć uwagę dorosłych, żeby otrzymać informację lub pomoc; przewidywały wyniki swoich działań, mogły myślowo ułożyć plan i wykonać go, rozumiały złożone zwroty językowe.

Wkrótce badacze doszli do zupełnie nieoczekiwanego wniosku: różnica między grupami określiła się, nim dzieci skończyły trzy lata. Uczni skierowali więc uwagę na dzieci w wieku od jednego do trzech lat. Głównym przedmiotem badań stały się komponenty dziecięcego świata. Uczonych interesowało, jak często matka rozmawia z dzieckiem, jak je uczy, na co mu pozwala, w czym ogranicza?

Po upływie dwóch lat uczeni zbrali masę danych o 40 matkach oraz ich dzieciach i wreszcie znaleźli ten punkt wzrostu, w którym drogi rozwoju intelektualnego dzieci grupy „A” i „C” rozeszły się zupełnie wyraźnie. Różnica między dziećmi

tych obu grup stawała się widoczna już w drugim roku życia. Właśnie między dziećmi rokami miesiącami a półtora rokiem dokonuje się coś ważnego, co określa dalszy rozwój intelektualny.

ZBIERANIE INFORMACJI

W życiu dziecka następują w tym okresie gwałtowne zmiany. Dzieciak zaczyna chodzić, „podrozuje” po domu, wszystko go interesuje. Jednocześnie zaczyna rozumieć mowę. Jest to trudny okres dla matki i od niej zależy, jakie będzie dziecko w trzecim roku życia.

Gdy dziecko kończy rok, zaczyna poznawać otaczający je świat. Ponad jedną piątą całego czasu wolnego od snu, roczne dzieci poświęcają na zbieranie informacji za pośrednictwem nie złożonej kontemplacji, to jest patrząc uparcie na jakikolwiek przedmiot i jak gdyby starając się go zapamiętać. Próbuje eksperymentować. Na przykład dziewczynka, która ma rok, i trzy miesiące, przypadkiem upuszcza kawałek mięsa do szklanki z mlekiem i ze zdumieniem obserwuje, jak on tonie. Następnie wrzuca do niej odrobinę ususzonego jabłka. Pozostaje ona na powierzchni: dziewczynka jest wstrząśnięta.

Matki dzieci grupy „A” chowały przed swymi pociechami tylko ostre przedmioty i chemikalia, i pozwalały im swobodnie chodzić po całym mieszkaniu. Matki z drugiej badanej grupy — „C” — „chroniły” swoje dzieci (i swoje rzeczy), oznaczaly „strefy zakazane” w mieszkaniu, ograniczając w ten sposób dziecko w jego dążeniu do poznania otaczającego go świata.

W grupie „A” matka była konsultantem, gdy dziecko, wędrując po domu, znajdowało coś interesującego lub natrafiało na przeszkodę, której nie mogło pokonać. W tych przypadkach matka poświęcała mu kilka sekund uwagi. Porozmawiała z nim, zaspokoiła jego ciekawość, przekazała kilka myśli związanych z określonym zdarzeniem i niepostrzeżenie dla niego podsuwała mu ważne wnioski: dorosły jest źródłem informacji i pomocy. Taką lekcją, jak stwierdzono, zajmuje matce

maksimum 20—30 sekund, ale powtarza ją wiele razy w ciągu dnia. Charakterystyczne, że inicjatywa należy do dziecka, a matka pomaga mu tylko wykonać zadania, które stawia ono przed sobą.

Zupełnie inaczej robi to matka dziecka drugiej grupy: „C”. I ona nie mniej kocha swoje dziecko, jest nie mniej cierpliwa i także życzy mu jak najlepiej. Ale nie podziela jego wzruszeń, rozmawia z nim o wiele rzadziej i nie stymuluje jego umysłowej inicjatywy. Tymczasem niektóre matki dzieci grupy „A” potrafiły nawet zwykłą, nudną i zrutyżowaną procedurę zmiany pieluszek przekształcić w pożyteczną grę, sprzyjającą intelektualnemu rozwojowi dziecka. Na przykład gra w chowanego pomaga dziecku zrozumieć, że przedmioty istnieją nawet wtedy, gdy znajdują się poza jego polem widzenia.

Jednakże wszystko to nie oznacza, że dalszy los dziecka rozstrzyga się definitywnie w wieku półtora roku.

nieposłuszne. Omylić się tutaj bardzo łatwo. Jednakże, akurat w tym okresie, dziecko dąży do poznania samego siebie i otaczającego go świata. Mówiąc „nie” nie jest ono „impertynentem”. W istocie chce powiedzieć: „Ja muszę nauczyć się robić to po swojemu”.

Niebezpieczeństwo tego okresu polega na tym, że życie matki i dziecka może się przemienić w nie kończący się okres nieporozumień, wybuchających z byle powodu, właśnie wtedy, gdy należy w odpowiednim momencie iść na kompromis. Oczywiście nie oznacza to, że robi ono wszystko jak należy i że z każdym „nie” trzeba się zgadzać. Niech bez przeszkód sypie na siebie piasek w piaskownicy, ale niech nie zrzuci na kolana talerza z kaszą. Krótko mówiąc, należy unikać robienia problemu z każdego jego przewinienia.

Peter Neubauer, dyrektor nowojorskiej neuropsychiatrycznej kliniki dziecięcej stoi na stanowisku, że podstawy życia uczuciowego

ku 6—8 tygodni po urodzeniu, jako reakcja na ludzką twarz. To pierwsze przebliski socjalizacji, forma, wyrażająca zadowolenie z kontaktu osobistego. Dzieci, na które zwraca się mało uwagi, nie umieją się uśmiechać, ponieważ uśmiech nie jest umiejętnością wrodzoną, a wynikiem pewnego doświadczenia. Uśmiech jest pierwszą oznaką przywiązania i jeśli nie pojawia się, lub pojawia się zbyt późno, oznacza to, że z dzieckiem nie wszystko jest w porządku.

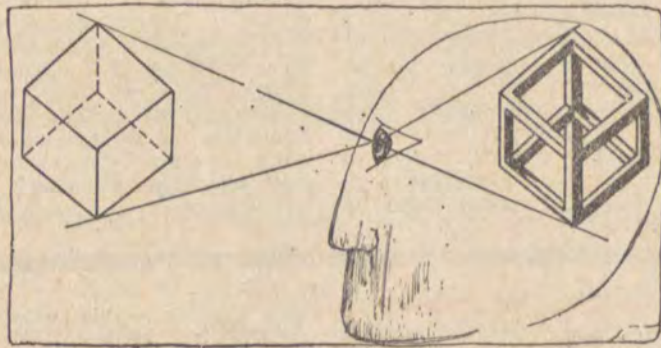
„WIEM, CZYJE JESTEM”

Następnym ważnym etapem w rozwoju dziecka jest lek przed obcymi, który u normalnych dzieci pojawia się w wieku, mniej więcej, ośmiu miesięcy. Ów lek, który matki często błędnie interpretują, oznacza po prostu, że dziecko jest już na tyle mocno związane z jednym człowiekiem, że umie go odróżnić od innych. To jeszcze jeden istotny etap w rozwoju dziecka, na którym umie ono już odróżnić znane od nieznanego. Jego doświadczenie podpowiada mu: znane przynosi przyjemność. Bojąc się nieznanego, dziecko, jak gdyby, chciało powiedzieć: „Ja wiem, czyje jestem”.

„Kolejność, ciągłość i różnorodność doświadczeń — mówi znany pediatra Eric Ericsson — pomaga dziecku poznawać otaczający je świat i siebie. Od wczesnego dzieciństwa gromadzi ono coraz więcej znanych obrazów i wrażeń, mocno związanych ze światem już poznanych przedmiotów i twarzy”.

Po roku życia, między matką i dzieckiem ustala się wyraźny ciąg kontaktów osobistych, po których nie tylko profesjonalista, lecz także zwykły, uważny obserwator, może osądzić, jak ułożą się te stosunki również w przyszłości. Jeśli matka czule reaguje na sygnały dziecka, jeśli nauczyła się je rozumieć, to — nie popełniając większego błędu — można powiedzieć, że między matką i jej dzieckiem zostanie nawiązana mocna więź wzajemnego zrozumienia.

oprac. J. CZECH



Rys. K. Gruber

Gdy znajdzie się ona w zupełnie innej sytuacji, może się zmieniać tak lub inaczej.

TRUDNY OKRES

Częstokroć matka błędnie interpretuje zachowanie się dziecka i dlatego kieruje nim niewłaściwie. Na przykład w wieku dwóch lat następuje okres, kiedy dziecko odpowiada na wszystko „nie”. To „nie” często doprowadza matkę do rozpacz. Zaczyna sądzić, że traci dziecko spod kontroli, że jest ono uparte lub kapryśne i należy je nauczyć uległości, bo będzie

kształtują się, w okresie wczesnodziecięcym. Miłość i czułość w okresie od urodzenia do trzeciego roku życia w znacznym stopniu wyznaczają drogę dalszego rozwoju życia uczuciowego. „Dwadzieścia pięć lat temu — mówi Neubauer — mówiliśmy o znaczeniu miłości w wychowaniu dziecka, ale dalecy byliśmy od skonkretyzowania jej pojęcia. Teraz wiemy, że pieszczota (dotknięcie), uśmiechnięta twarz (to, co widzi dziecko) i tkliwe słowa (dźwięki) są niezbędne w okresie dzieciństwa”.

Uśmiech jest jednym z ważnych etapów w rozwoju dziecka. Pojawia się w wie-

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

OSSIP ZADKINE

Był wybitnym rzeźbiarzem, ale pisywał też liryczne wiersze, pełne zadumy, miłości do przyrody i świata, radości życia choć nieradko jego poematy mówiły o śmierci. Pisał w jednym ze swych wierszy o kimś kto:

...Idzie pośród krajobrazu jak do swego grobu
Ale zna każde drzewo
Każdą gałąź
Każdy kamyk
Na tej drodze
To nie będzie grób
Ale zwykłe spotkanie
Gdy
Drzewa i ptaki
Jaszczurki i małe mrówki
Powitają go pozdrowieniem”

Pięć lat temu w listopadzie zmarł autor tego fragmentu wiersza, jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy współczesnych, Ossip Zadkine.

Urodził się w Smoleńsku w roku 1890. Gdy ma lat osiemnaście wyjeżdża na studia

lingwistyczne do Anglii. Równocześnie uczy się tam rysunku i malarstwa. Wkrótce wraca do Rosji lecz znowu wyjeżdża, tym razem do Paryża, gdzie wstępuje do Szkoły Sztuk Pięknych. A były to lata, kiedy stolica Francji wrzała życiem literackim i artystycznym, kiedy rozdziły się nowe kierunki w malarstwie i rzeźbie, kiedy pojawiały się ciekawe, nieraz genialne talenty. Zadkine nawiązuje szybko kontakty z malarzami i poetami. Do jego dobrych znajomych zaliczają się m. in. Max Jacob, Apollinaire, Cendrars, Sonia i Robert Delaunay. Początkowo młody przybysz pozostaje pod urokiem potężnego talentu Rodina, lecz w swej twórczości nie ulega jego wpływowi. Zetknięcie się także w Paryżu z modą na sztukę murzynską lecz w przeciwieństwie do swych kolegów malarzy i rzeźbiarzy sztuka ta będzie go inspirowała w niewielkim

jedynie stopniu. I jeśli można się w czymś dopatrzeć głębszych źródeł twórczej inspiracji młodego Zadkine'a to w starych formach ludowej, sztuki rosyjskiej.

Kubizm wywiera na rzeźbiarzu silny wpływ. Zadkine przyłącza się do kubistów. Kierunek ten, jak wiadomo, ulegał najrozmaitszym przekształceniom i formom. Do około 1925 roku będzie mu Zadkine hołdował, a jego rzeźba z 1918 roku zatytułowana „Forma kobieca” jest dziełem niewątpliwie reprezentującym kubizm syntetyczny. Po roku 1925 Zadkine współpracuje sobie oryginalny, jemu tylko właściwy styl rzeźbiarski nacechowany dużą siłą ekspresji przy tendencji do deformacji. Po podróży w roku 1930 do Grecji można się bez trudu dopatrzeć fascynacji sztuki antycznej, a zwłaszcza starożytną rzeźbą grecką. Zadkine we wspomnieniach z pobytu w tym kraju pełnym zabytków sztuki zdumiewa się proporcjami i wspaniałą klasyczną prostotą rzeźby i architektury starożytnej Grecji. Zachwyty zamieścił w książce drukowanej w Holandii. Tworzy następnie wiele dzieł inspirowanych przez grecką mitologię jak „Centaur” czy „Orfeusz”. To ostatnie dzieło, którego istnieje trzy wersje, uchodzi według niektórych znawców sztuki za najwybitniejsze osiągnięcie rzeźbiarskie Zadkine'a.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa Ossip Zadkine, leżący wówczas 24 lata, walczył na froncie w armii

francuskiej w Pierwszym Regimente Cudzoziemskim. Zatruty niemieckimi gazami bojowymi zostaje następnie uznany za całkowicie niezdolnego do służby wojskowej.

Pierwsza retrospektywna wystawa Zadkine'a odbywa się w roku 1933 w Muzeum Sztuk Pięknych w Brukseli. W latach 1941—1945 Zadkine przebywa w Ameryce, ale jego twórczość nie ulega w najmniejszym stopniu wpływom sztuki amerykańskiej. Po wojnie wraca do Francji, gdzie obok pracy twórczej wykłada na jednej z paryskich uczelni artystycznych. W tym czasie tworzy dla Rotterdamu najbardziej znane swe dzieło zatytułowane „Rozdarte miasto”. W 1949 r. odbywa się druga retrospektywna wystawa Zadkine'a tym razem w Muzeum Narodowym Sztuki Nowoczesnej w Paryżu. W roku 1950 otrzymuje Wielką Nagrodę Międzynarodową w dziedzinie rzeźby na biennale w Wenecji. Zostaje członkiem Królewskiej Akademii Flamandzkiej w Belgii. Ma swe liczne wystawy w muzeach amerykańskich i europejskich. W roku 1960 otrzymuje Wielką Nagrodę Rzeźby m. Paryża. Umiera w wieku lat 77, w pełni sił twórczych, w roku 1967 po operacji w szpitalu.

Ossip Zadkine był ze swej natury człowiekiem niezwykle żywym, wesolym. Mówił tak szybko, że nieraz jego rozmówcy z trudem go rozumieci, a wadał biegle trzema językami: rosyjskim, francuskim i angielskim. Pogodny,

kochający naturę, bywał nie tylko dowcipny, ale czasem ironiczny. Jego żona, malarzka Valentine Prax wspomina w jednym z październikowych numerów „Le Figaro Littéraire” jak to siedząc nieraz w kawiarni Zadkine rysował siedzących obok niego ludzi jako... zwierzątka. „Widzisz przecież — mówił do niej pokazując swój rysunek — że to jest szeszur... że to pies... Albo: „Widzisz, że to kaczka... a to jest jedyk...”. A przecież te zwierzęta na rysunku miały najwyraźniej rysy owych kawiarzanych sąsiadów.

W roku 1966 prasa paryska przytoczyła taką historjkę, której bohaterem był Zadkine: Oto baronowa Alix Rothschild organizując wystawę i sprzedaż dzieł plastycznych na cele dobroczynne zwróciła się m. in. do Zadkine'a z prośbą o ofiarowanie na ową wystawę jakiegos jego dzieła. Artysta odpowiedział listem o następującej treści:

„Droga Pani! Nienawidzę dobroczynności i całe życie nie cierpiałem tych, którzy ją praktykują kosztem innych”. List zawierał post scriptum:

„Proszę nakleić ten list na lustro nieco większe niż on sam. Proszę następnie wziąć kredki i obrysować go liniami: niebieską, białą i czerwoną. Potem lustro oprawić”. Wszystko to zostało dokładnie wykonane. Powstały w ten sposób obraz znalazł się na wystawie.

Zadkine pozostawił po sobie wiele rysunków, obrazów,

rzeźb, szkiców i dzieł graficznych. Pisał poematy i próbował swych sił w prozie literackiej. Interesowały go też zagadnienia architektoniczne. Jeszcze w lecie 1967 roku, a więc na kilka miesięcy przed śmiercią, w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi tygodnika „Les Lettres francaises” zastanawiał się jak zarządzić monoteń wielkich bloków mieszkalnych. Zgadzał się, że bloki takie muszą przecież powstawać wysuwał projekt, aby ich ściany pokrywały wielkie kolorowe płaskorzeźby, wyglądające z daleka jak elementy olbrzymiego, żywo namalowanego obrazu.

Kochał muzykę, pasjonował się teatrem, zwłaszcza antycznym i szekspirowskim.

Pod koniec życia martwił się, że nie zdążył dokonać jeszcze czegoś bardzo istotnego. Mówił:

„Jeszcze dwa lata... Potrzeba mi jeszcze dwóch lat by stworzyć to co nareszcie wiem jak powinienem zrobić”. Nie przeżył tych dwóch lat. Ciężko chory zabierał ze sobą do szpitala wielką walizkę z papierem do rysowania. Zamierzał rysować gdyż będzie miał w szpitalu dużo czasu. Niestety, nie miał już czasu. Zmarł 25 listopada 1967 roku.

W piątą rocznicę śmierci Zadkine'a otwarte są dwie równoczesne wystawy jego dzieł. Jedną w paryskim Muzeum Rodina, drugą w Muzeum Sztuki Nowoczesnej m. Paryża. Są to największe ekspozycje dzieł Ossipa Zadkine'a jakie do tej pory miały miejsce.

PRZECZŁOŚĆ

Jak tu nie lubić... donosów?

Sięgam do dzieła niejakiego Józefa Zawadzkiego, opatrzonego szumnym tytułem: „Przebieg bratnia dla patriotów polskich. Zbiór historyczny z uwagami”, opublikowanego w Krakowie w 1848 r. Do przeglądu tego plodu pióra zachęca lojalistyczna dedykacja J.W. „Gubernatorowi Galicji, Bukowiny i Okręgu Krakowskiego jako naczelnikowi i rodakowi”. Czytam więc kartka po kartce i coraz bardziej przekonuję się, że praca ta jest dziełem człowieka przestraszonego narastaniem fali rewolucyjnej, a w szczególności wydarzeniami 1846 r. Przestrach obudził w nim uczucia „patriotyczne” z gatunku „donoszące panu naczelnikowi... i rzecznie byłaby pewnie godna

dalszej uwagi, gdyby nie niezmiernie zajadły atak, wymierzony przeciw Towarzystwu Demokratycznemu Polskiemu, emisariuszom wysyłanym do kraju i ludzkom, którzy udzielają im poparcia. Z największym oburzeniem pan J. Zaleski donosił więc panu gubernatorowi W. Zaleskiemu, że emisariusze przywożą do kraju „rozmaite broszury i książki, jako to: Nauka ogólna dla włościan, Katechizm demokratyczny Prawdowskiego, Program ogólny zasad Rzeczypospolitej, Manifest Towarzystwa Demokratycznego, mocą którego to jest pierwszego manifestu lud wiewski do terroryzmu przysposobić...” Przypominę tylko, że pod pseudonimem F. Prawdowskiego u-

krywał się Henryk Kamieński. A więc drukowany donos świadectwem funkcjonowania literatury demokratycznej w kraju w dobie Wiosny Ludów! Niewątpliwie tak, tym ciekawszy, że napisany przez autora dobrze poinformowanego o rozmiarach tej demokratycznej propagandy.

Kim więc był „zdzielca owego pisemka”? K. Estreicher każe mu umrzeć we Lwowie w 1880 r. i przypisuje jeszcze kilka innych druków, ponadto podaje, że interesująca nas książeczka ukazała się także nakładem autora we Lwowie w przekładzie niemieckim, inne zaś niemieckie tłumaczenie pojawiło się w Pradze, oba w 1849 r. Ten sam wielki bibliograf przypisuje również J. Zaleskiemu autorstwo wydanej po francusku w Tuluzie w 1834 r. niewielkiej pracy o dziejach „polskiej rewolucji”, czyli powstania listopadowego. Skądinąd wiadomo, że napisał ją Józef Jan Zaleski, żyjący w latach 1789—1864, niegdyś oficer napoleoński, potem uczestnik powstania listopadowego, przez jakiś czas związany z Towarzystwem Demokratycznym Polskim, później zwolennik księcia Adama i potrosze mistyk. A więc donos, o którym mowa, byłby tym cenniejszy, że wyszedł spod pióra dawnego demokrata, człowieka, który niegdyś współpracował z Józefem

Zaliwskim, słowem dobrze poinformowanego w opisywanej materii. I jak tu historyk ma nie lubić... donosów?

Gdyby nie to, że mieszczanin Stanisław Bloch, szlachcic Augustyn Rychter i chłop Walenty Janie oraz kilku innych usłużnych jegomościów, których dane personalne przechowywały materiały archiwalne, donieśli władzom carskim o spiskowych przedsięwzięciach Piotra Ściegiennego, pewnie nie udało się zandarom tak szybko i sprawnie wyłapać konspiratorów w Kielcach, Radomiu, Warszawie, Lublinie i innych miejscowościach. Pewnie też nie o wszystkich władze w ogóle by się dowiedziały, a w każdym razie nie byłoby głośnego procesu, a co za tym idzie i... dziewięciu tomów akt śledczo-sądowych, które w dodatku zamiast zaginać, dzieląc los innych cennych źródeł, zachowały się do dziś dnia w całości. Chyba tylko po to, aby odnalazł je wybitny radziecki historyk Włodzimierz A. Dżakow, od wielu lat specjalizujący się w problematyce związków polsko-rosyjskich w XIX w.

Dotychczas nikomu nie znane akta sprawy Ściegiennego liczą ok. 5300 kart i są wprost bezcennym zespołem: znajdują się w Centralnym Wojskowo-Historycznym Archiwum Państwowym ZSRR w Moskwie.

Wstępna informacja o nich ogłosił prof. Dżakow w 1968 r., rychło też — jak pisze dziś prof. Stefan Kieniewicz — uczony „uznał, że należy się historykom polskim integralne udostępnienie odnalezionego dokumentacji i stworzenie w ten sposób bazy dla dalszych gruntownych studiów nad tym epizodem wyjątkowej wagi”. Rezultatem jest ogłoszona po polsku monografia W. Dżakowa pt. „Piotr Ściegienny i jego spuścizna” (PWN, 1972) w której, prócz tekstu autorskiego, podano in extenso najważniejsze nowo odnalezione dokumenty.

Nowe źródła do sprawy Ściegiennego dostarczają nowych świadectw popularności demokratycznej literatury w kraju i nie tylko jej. Książd Ściegienny przyznał się bowiem przed Warszawską Komisją Śledczą do czytania i kolportowania pism TDP, Manifestu z 1836 r., „Księg ludu” F. de Lammenais i innych. „Od [Zenona] Popieła (o ile mi się zdaje, bo tego dobrze nie pamiętam) czytałem — zeznawał 8 (20) grudnia 1844 r. w warszawskiej cytadeli — w rękopiśmie Pan(a) Tadeusz(a), Historię rewolucji francuskiej Laponarego [tj. A. Laponneraye, Kurs publiczny historii francuskiej od r. 1789 do 1830, t.I, Agen 1834], list Nabelaka do Mochnackiego [tj. L. Nabelak, Do Maurycego Mochnackiego z 1834], parę numerów gazety „Nowa Polska”, Historię polską od ostatniej rewolucji Lelewela [tj. J. Lelewel, Polska odradzająca się, Bruksela 1836 i 1843], „Tygodnik Literacki”, „Orędownik” (oba te pisma poznańskie z roku, zdaje się, 1840), Joanna Grudzińska — powieść [tj. J. Czyński, Cesarzewicz Konstanty i Joanna Grudzińska, 4 t., Paryż 1833—1834]”. Katalog obszerny, tym ciekawszy, że wiadomo, iż dzieła te czytały wymienione z imienia i nazwiska osoby. A jakże wymowne jest to, że Ściegienny czytał Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza” w rękopiśmiennym odpisie! Nie omieszkał też umieścić go na czele swej listy zakazanych lektur! Historyk zatrzymuje się na chwilę przy nazwisku Lelewela — nie darmo konserwatywny „Przegląd Poznański” zważył w 1848 r. „komunista”, „gorszym od Gonty i Szeli”, usiłującym „rozgrzeszyć mordy i pożogi 1846 r.”!

Nowe źródła, nowe informacje, nowe świadectwa wpływów demokratycznej środowisk Wielkiej Emigracji na umysły Polaków w kraju, nowe przyczynki do dzieł polskiej demokracji. I jak tu historyk ma nie lubić donosów?

LEKTOR

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

Cenna, nietypowa książka

Trzy lata temu zmarł Stanisław Czernik i właśnie w bieżącym roku mija pół wieku od chwili, gdy nazwisko Poety po raz pierwszy wkroczyło do literatury. Trzymam w dłoni rewelacyjną książkę Michała Kuny „Stanisław Czernik — życie i twórczość... Ogarnia mnie wzruszenie, gdy widzę te pieczolowicie wygrzebane z

zakamarków bibliotek fakty, notatki, zapisy...

I ten najbardziej wzruszający zapis, ten, od którego (choć był niepowodzeniem) rozpoczął Stanisław Czernik swoją poetycką drogę. A rozpoczął ją prosto i typowo, tak, jak tysiące poetów.

Rok 1922. „Skamander” tom 3, zeszyt 22—24, odpowiedzi od redakcji: „Stani-

slaw Czernik — nie umiemy”. I rok później, „Skamander” tom 4, zeszyt 31—33, odpowiedzi od redakcji: „Stanisław Czernik... wiersze Pana świadczą bezwzględnie o talencie poetyckim... Drukujemy „Stare dziewice”. Ale nie wydrukowano. Następny tom „Skamandra” ukazał się po rocznej przerwie.

W ten sposób, od młodzieńczych niepowodzeń (a właściwie nie młodzieńczych chyba, bowiem Poeta miał wówczas już lat 23), rozpoczyna Michał Kuna notowanie dorobku i miejsca w literaturze twórcy, który stał się symbolem i uosobieniem autentyczności — najmniej ortodoksyjnej, najbardziej otwartej teorii poetyckiej. Ale przecież Stanisław Czernik nie był tylko poetą.

W bibliografii zgromadzono setki pozycji, świadczących o niebywalej wielostronności zainteresowań Czernika. Bibliografia notuje też rękopisy — spuściznę obfitą,

stanowiącą dziś cenny materiał, umożliwiający rekonstrukcję procesu twórczego Pisarza. Są tam recenzje wydawnicze, fragmenty nie publikowanych utworów scenicznych i prób dramatycznych, maszynopisy artykułów, autografy i maszynopisy wierszy... Jest nawet nowela filmowa, przeznaczona na jakiś konkurs, historia powstańczych losów Opatowa, pisana w roku 1933 na siedemdziesiątce. Obie prace nie zostały publikowane, choć jedna powstała dwadzieścia, druga czterdzieści lat temu.

„Bibliografia” jest cenną pracą i udowodnienie tego nie jest konieczne. Ale „Bibliografia” powstała w warunkach tak nietypowych, tak odległych od utartych szlaków wydawniczej praktyki, że mówić o tym trzeba. Oto wykonano tę ogromną pracę w ciągu kilku miesięcy. Dysponował co prawda autor materiałami bibliogra-

ficznymi z przygotowanej pracy o łódzkim środowisku literackim, ale też, mimo to, tempo pracy było zawrotne. Nietypowy jest także wydawca, całkowicie nietypowe tempo druku. Książkę wydała Biblioteka Powiatowa nakładem Wydziału Oświaty i Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Ostrzeszowie (woj. poznańskie). Na metryczce czytamy: oddano do składania w połowie sierpnia 1972 — druk ukończono w połowie października 1972. Dwa miesiące na druk tak skomplikowanej poligraficznie książki! Skomplikowanej, bo składającej się przeciwko z ciągłego tekstu, lecz wyłącznie z pozycji bibliograficznych drukowanych zazwyczaj trzema rodzajami czcionek (wersaliki, nonparel, kursywa). Gdzież jest ta nietypowa drukarnia? — zapyta każdy, kto co nieco wie o naszych permanentnych „niemocach” poligraficznych. Drukarnia

ta jest w Łodzi — to Zakłady Graficzne PZWS. Ukłon w ich stronę, niech będzie choćby małym wyrazem wdzięczności za współtwórstwo tej książki.

Na koniec refleksja. Oto w dziale „Pismiemietwo o Stanisławie Czerniku” czytamy pod pozycją 1514 taką notę: „Kirlo — Nowaczyk F.: Wołam o tablicę pamięci S. Czernika — „Gazeta Poznańska” 1972 nr 186”. Nie było to wołanie w próżnię. Przed paroma tygodniami w małym Ostrzeszowie odślonięto taką tablicę. Przed paroma tygodniami wołałem z tej okazji o podobny gest w Łodzi. Do tej pory nie wiem, czy wołałem w próżnię. Zgodnie z Kodeksem Postępowania Administracyjnego Wydział Kultury odpowie mi dopiero za trzy miesiące. Albo nie odpowie wcale. To nie powiat — tu się nie myśli — tu się pracuje...

WIDOK

TELEWIZJA

„Sonata widm”

Nie po raz pierwszy w teatrze TV oglądamy Strindberga. Zawsze to samo — atmosfera zbrodni, okrucieństwa, w której kat i ofiara są tak samo bezwzględni i stanowią w ostatecznej konsekwencji parę oskarżonych. SONATA WIDM jest dramatem, w którym awersje Augusta Strindberga do mieszczańskiego świata szczególnie dochodzą do głosu.

Spektakl łódzkiego ośrodka TV należy zaliczyć do więcej niż udanych. Autorem powodzenia jest bez wątpienia reżyser i scenograf w jednej osobie — Jerzy Grzegorzewski, ale aktorom również należy się

wysoka ocena. Nic nie urośli z tej mrocznej, dusznej i niesamowitej atmosfery, nierealnej zarazem, a jednak w znaczących momentach brutalnie prawdziwej.

Okruchy świata przeszłości są rzeczywiście odrażliwające. Autor jest może niesprawiedliwy w swej totalnej negacji, ale to prawo artysty do własnego odmierzenia proporcji. Po kolei odziera wszystkich ze wszystkiego. Odziera w sensie psychicznym i — jak Pułkownika — nawet w sensie fizycznym. Zwycięzcy, którym jest dyrektor Hummel, stary cynik i morderca, również nie pozwolili zatriumfować nad pokonanymi (którzy nie są od niego lepsi). Wcisła mu w ręce sznur samobójczy. Nawet studenta Arkengoltza, szlachetnego skądinąd młodzieńca, włącza w krąg ponurej przeszłości swych bohaterów.

Strindberg, prekursor nowoczesnego teatru, jeden z najwybitniejszych pisarzy

szwedzkich, w mistrzowski sposób (naturalnie zgodnie z prawami rządzącym sztuką) przedstawia nie ułudzoną prawdę o swoich czasach i klasie, której wilczych praw nigdy nie uznał. Dzięki temu został nam jakże wymowne i przejmujące świadectwo.

Dobrze pomyślano, żeby tę nieproszoną kolację widm pokazać w pierwszym programie. Dobrze, że nasz łódzki ośrodek TV tak ambitnie i trudne pozycje włącza do swojego repertuaru.

„Wassa Żelaznowa”

Kiedy po kilku dniach ogląda się „WASSĘ ŻELEZNOWĄ” trudno obronić się przed skojarzeniami ze sztuką Strindberga. Oczywiście tylko w pewnych momentach. Podobieństwa, zresztą bardzo odległe, bo rzecz cała jest przedsta-

wiona w innej konwencji i napisana z innych pozycji ideowych — dotyczą ludzi. U Gorkiego jest jednak ten sam ginący świat, zdegenerowany, zbrodniczy i tak samo bezwzględny, chociaż już ze świadomością kresu swego istnienia.

Gorki jest jednak realistą i obiektywnym obserwatorem. Jego bohaterowie to ludzie zarówno źli do szpiku kości, jak i nieszczyśliwi i nieświadomi. Obok Wassy Żelaznowej, matki — despotki i bezwzględnego człowieka interesu (przypominają się tu niektóre sekwencje z JEGORA BULYCZEWĄ) występuje naiwna Ludmiła, cyniczna Natalia i synowa Rachel, oddana bez reszty sprawom rewolucji. To ona stawia diagnozę rodzinie: „Jesteście wszyscy beznadziejnie chorzy” i dodaje: „Wy i wasza klasa” i jest to racjonalistyczne określenie rzeczywistej sytuacji mieszczaństwa w przedrewolucyjnej Rosji. I Wassa swym samobójstwem, jak by jej tę rację przyznał.

Krakowscy aktorzy dobrze się wywiązały ze swego zadania. Szczególnie należy

jednak wyróżnić odtwórczynię tytułowej roli — Halinę Gryglaszewską. Nie wpadała w przesadę w krańcowych sytuacjach, odtwarzając doskonale zarówno bezwzględność i zdecydowanie tej dość monolitycznie określonej postaci, jak i rzadkie chwile słabości i ludzkie odruchy. Zapamiętamy na pewno tę postać w jej interpretacji.

„Chłopi”

Po pierwszym z zapowiedzianych trzynastu odcinków nowego serialu polskiej TV — „CHŁOPI” — jeszcze trudno coś powiedzieć. Tym bardziej, że początek nie zachwycał. Kilkakrotnie w tej rubryce zwracałem uwagę na wzajemne relacje między literaturą a filmem czy telewizją. Czy dzieło Reymonta się obroni przed reżyserem Janem Rybkowskim? Przedsięwzięcie na pewno jest odważne. Tym bardziej przy małym, czarno-białym ekranie. A przecież u Reymonta natura jest

wszehobecna, nie jest tylko tłem dla perypetii bohaterów. Natura i epoka, tak jak nigdzie doskonałe odtworzone. Bałbym się nawet, gdyby realizatorzy postarali się o kolor i panoramiczny ekran. Nie uprzedzajmy jednak faktów. To, tak czy inaczej, wydarzenie spotka się z należytym zainteresowaniem.

JAROSŁAW TARNO

PS.

Kilka dni temu dowiedziałem się, że już nie piszę o telewizji tylko o jednym z publikatorów. Tak bowiem po konkursie „Expressu Wieczornego” nazywać się będzie (?) środki masowej informacji. Zastąpienie dźwięcznym, jedno-wyrazowym określeniem, i to w miarę adekwatnym, dotychczasowego biurokratyczno-drewnego hasła, wydaje się w pełni uzasadnione. Przewodniczący konkursowego jury prof. Witold Doroszewski gwarantuje w dodatku, że jest to określenie najwładźniejsze z setek nadesłanych propozycji.

J.T.